№ 3. Warszawa, dnia 15 (3) Stycznia 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Wędrówka deputacyi. — Tydzień polityczny. — Z dziennika pesymisty. Zacofany p. Brolisa. — *Sprawy ekonomiczne*: Położenie ludności rolniczej w Galicyi p. Huculę. — *Badania naukowe:* Filozofia. Epidemia pesymizmu. I. p. N. Hirszbanda. — Kartki z dziejów ludzkości. II. Znachory i wiedźmy p. Lud. Krzyw. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska p. Justyna Feliksa Gajslera i Cezarego Jellenta. — Kartki estetyczne p. Wiktora Gomulickiego. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. K. Zbruckiego. — Cudze głosy. —Kronika bieżąca.—Odpowiedzi redakcyi.— Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

WĘDRÓWKA DEPUTACYI.

Nie pierwszy raz polityka, zamiast depesz i not, zamiast próśb i skarg pisanych, używa środka ostatecznego — objazdów osobistych i błagań ustnych. Nie jest to droga, przeznaczona jedynie dla ubogich i słabych — szukają na niej szczęścia również możni. Prawie wszystkie tego rodzaju wycieczki kończyły się zawodami. Bo polityka spoczywa na interesach, chłodnych rachubach, a nie na uczuciach, któreby można rozgrzać spotkaniem osobistem.

Poniekąd doświadczyła tego i deputacya bułgarska w swej wędrówce po dworach europejskich. Mówimy: poniekąd, gdyż zaprzeczyć trudno, że demonstracyjny cel tej wyprawy został osiągnięty. Bułgarzy nie łudzili się jej wynikami, wiedzieli, że wszędzie przyjęci będą chłodno i zamiast wynurzeń serdeczności usłyszą wskazówki czysto dyplomatyczne, ale im szło przedewszystkiem o rozgłoszenie swego oporu, o podtrzymanie swej sprawy na widoku, o niedopuszczenie jej do milczących sądów dyplomacyi.

Że nakreślili sobie plan taki, przekonywa wytrwałość i dobra mina deputacyi w wędrówce, pomimo ustawicznych zawodów. W Wiedniu nie przyjęto jej urzędownie i radzono poddać się Rosyi, w Berlinie — również, nawet w Londynie nie przyrzeczono żadnego poparcia, najostrzej zaś zwrócił się przeciw niej rząd francuski, przeszedł on wszelkie oczekiwania i stanął na gruncie wyłącznie dyplomatycznym.

Ostatnie telegramy (wtorkowe) o odpowiedzi francuskiego ministra spraw zagranicznych na prośby deputacyi bułgarskiej są bardzo pouczające. Mianowicie p. Flourens rzekł (według Agencyi póln.): Bułgarya cieszy się niezależnością wewnętrzną, ale w swych stosunkach międzynarodowych należy do Porty, która sama jedna ma prawo przemawiać jej imieniem. Francya *za bardzo* szanuje traktaty i *nazbyt gorąco* pragnie utrzymania całości państwa otomańskiego, aby odstępować miała od tej zasady. *Najlepszym* środkiem wyjścia z trudności byłoby *zupełne* zastosowanie się do uczuć Rosyi, której Bułgarya zawdzięcza swój byt, a nawet zrobienie w tym celu pewnych ustępstw. Minister uważa za rzecz pożałowania godną, że regencya odrzuca kandydaturę ks. Mingrelii. Zresztą choćby Bułgarya zasługiwała na największe współczucie, Francya winna przedewszystkiem strzedz ogólnego interesu Europy, tj. pokoju i może zalecać tylko najszybsze i najskuteczniejsze ku temu środki.

Jak widzimy rząd francuski stanął otwarcie i może najotwarciej ze wszystkich po stronie Rosyi.

W tym samym duchu upomniała bułgarów odbijająca jego poglądy i zamiary gazeta *Journ. des débats.* Nie ma najmniejszego powodu nazywania ludu bułgarskiego uciśnionym. Jest on tak dalece niezawisłym, że pozwalają mu nawet gwałcić zobowiązania formalne przez odmowę płacenia haraczu Turcyi i pozostawienie fortec naddunajskich, które, według traktatów, powinny być zburzone. Podobało mu się zakłócić spokój na Wschodzie, rozedrzeć traktat berliński, przyłączyć Rumelię. Obecnie prosząc Europę o względność, nie waha się zuchwale wyzywać jej, traktując Filipopol, jako prostą siedzibę władzy prowincyonalnej. Gdy deputaci bułgarscy prawią o poszanowaniu traktatów, trudno nie śmiać się; niepodobna ich również brać na seryo, gdy mówią o niepodległości narodowej. Rząd bułgarski jest po prostu rewolucyjnym, ustanowionym bezprawnie. I oto w chwili, gdy demokracya bułgarska uległa przemocy garstki ambitnych dorobkiewiczów, bułgarowie niezdolni są stanąć w obronie swych przeznaczeń. Rosya, która ich uwolniła, ma prawo wykonywać nad nimi rodzaj opieki; Turcya, której są lennikami, ma prawo mieszać się do toku ich spraw wewnętrznych.

Tak mówi *Journ. des débats.* Oba te głosy — ministra i dziennika — są wysoce charakterystyczne dla Rzeczypospolitej i dla położenia obecnego. Nigdzie, nawet w Berlinie, nie potępiono tak surowo bułgarów i nigdzie tak nie uprawniono żądań Rosyi. Francya urzędowa i nieurzędowa odkrywa swą barwę jawnie, bez osłonek i zastrzeżeń solidaryzując się z polityką rosyjską. Ta przyjaźń trwa nie od wczoraj, nawet nie od sprawy bułgarskiej, zarody jej leżą w dalszej przeszłości, a rośnie tak szybko, że nie przytłumiła jej — jak widzimy — pogłoska o przymierzu niemiecko-rosyjskiem.

Jeżeli deputacya bułgarska liczyła na zdobycie łask Francyi, wyjechała z Paryża po bardzo zimnej kąpieli; ale jeśli — jak przypuszczamy — nie łudziła się i chciała jedynie urządzić demonstracyę, ten prysznic zapewne jej nie przyziębi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Żyjemy w epoce zbrojenia się. Czasy ostatnie wszakże zasypały nas wiadomościami w tym kierunku. Dania umacnia Kopenhagę. Anglia wydaje polecenia na wypadek mobilizacyi. Belgia opatruje swoje pozycye obronne. We Francyi jedynakom, którzy mogliby w razie wojny być powołani do armii, rozesłało ministeryum gen. Boulangera książeczki z instrukcyami. Hiszpania opatruje porty na wyspach Balearskich. Serbia i Czarnogórze zęby sobie pokazują. Stany Zjednoczone uchwaliły powiększenie marynarki wojennej. Na sam

koniec tej listy zachowaliśmy dwa najpoważniejsze wypadki: półurzędowa węgierska *Budapester Correspondenz* wykazuje konieczność zaprowiantowania krajów austryackich, mogących być teatrem najbliższej wojny, a w parlamencie niemieckim *unisono* Moltke i Bismark domagają się zatwierdzenia ryczałtem całego wniosku rządowego o powiększeniu wojska na lat siedm, ani chcąc słuchać o propozycyach wygłaszanych w komisyi parlamentarnej, ograniczających bądź liczebność wojska, bądź siedmiolecie do trzechlecia. Nie mamy dotąd tekstu mowy Bismarka, tylko streszczenie jej telegraficzne. „Jeżeli nie uchwalicie żądanego projektu, to 1-o parlament będzie rozwiązany i 2-o wojna wtedy wybuchnie z pewnością“ — powiedzieć miał wulkaniczny kanclerz, oburzony na opozycyę, że śmie stawiać przeszkody wymaganiom rządu. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa opozycya — ustąpi, jak zwykle, gdy chodzi o sprawy zagraniczne, w których żelazny kanclerz jest niewątpliwie najbieglejszym sędzią, mogącym lepiej niż ktokolwiek ocenić potrzeby państwa, zbudowanego na podstawach militaryzmu. Z kim wojna? Stosunki z Rosyą i Austryą nie do życzenia nie pozostawiają, zapewnia o tem „uczciwy mekler,“ więc ktożby mu nie uwierzył. Trudność pewną przedstawia tylko pośredniczenie między temi dwoma mocarstwami... Francya natomiast, chociaż dziś o pokoju mówi, lecz nie przestaje zemstą dyszeć i prędzej lub później ujrzy się pod rządami ludzi, którzy ją popchną do wojny. Będzie to może za dziesięć dni, może za dziesięć lat, bo na trwałość stosunków dzisiejszych we Francyi rachować nie można. Zatem nowe uzbrojenia są konieczne i muszą być uchwalone.

Tak rzeczy stawiając, pustelnik warciński rzuca wróżbę niewątpliwej wiarogodności, bo przy dzisiejszem naprężeniu dziesięcioletniego pokoju nikt chyba nie przewiduje; następnie w motywach swoich oszczędza wszelkie drażliwości dyplomatyczne, poniewiera jedynie francuzów, którzy za brak określonego kierunku w swych najważniejszych sprawach państwowych, za nieustanne zmiany, zasłużyli poniekąd na lekceważenie, jakie ich zewsząd spotyka.

Deputacya bułgarska, doznawszy w Anglii bardzo życzliwego przyjęcia i zamanifestowawszy tam przy toastach swoje patryotyczne uczucia, wyjechała do Paryża, gdzie na posłuchaniu prywatnem u pp. Flourensa i Gobleta dowiedziała się, że Francya nie myśli wdawać się w sprawy Bułgaryi, która najlepiej zrobi, gdy się do życzeń Rosyi zastosuje. Dalej wybierają się deputaci do Rzymu i Konstantynopola, chociaż podobno Wysoka Porta zawczasu ich uprzedza, aby się nad Złoty Róg nie fatygowali, bo tam przyjęci nie będą.

Sprawa ugody austryacko-węgierskiej, a mianowicie kwestya zapobieżenia przemycaniu nafty kaukaskiej do Węgier ze szkodą Galicyi dotąd nie została załatwioną. Dzienniki węgierskie napadają na ministra Dunajewskiego za „partykularyzm,“ okazywany jakoby w tej sprawie.

Pruskie roboty germanizacyjne i szerzenie protestantyzmu nie ustają. Polak ks. Szubczyński, nowomianowany wikaryusz w Pile, stanął na czele niemieckiego *Katholischer Gesellen-Verein*, naprzekór tamecznemu towarzystwu przemysłowemu polskiemu.

Bawarya zaczęła u siebie prześladować polaków. Skutek to zapewne bytności niedawnej ks. Luitpolda w Berlinie. Wychodźcom polskim, zamieszkałym od lat dwudziestu, posiadającym swoje zakłady handlowe i przemysłowe, kazano postarać się o paszporty lubo wyjechać.

SPRAWY EKONOMICZNE.

POŁOŻENIE LUDNOŚCI ROLNICZEJ w Galicyi.

Lwów, 10 stycznia.

Sprawa bułgarska nastroiła i Austryę wojennie. Wszystkie urzędy gminne zajęte są na gwałt przygotowaniem spisów osób, obowiązanych do ogólnego uzbrojenia. Z wyjątkiem ułomnych, do służby tej mają należeć wszyscy od 20 do 42 roku życia. Kto cokolwiek zna Galicyę, łatwo domyślić się może, że ów zaciąg obudzi między ludem niezwykle wzburzenie, tem bardziej, że niejako w takt z przygotowaniem do wojny idzie maszyna ściągająca podatki. Jak daleko ona się posuwa, wystarczy na dowód fakt następujący: We wsi Studzianka sekwestrator, zabrawszy pewnemu wieśniakowi wszystko, co było na podwórzu, w stajni i stodole, zaczął obierać ze sprzętów chatę. Włościanin, doprowadzony do rozpaczy, zamknął się w chałupie i oświadczył, że będzie się bronił do upadłego. Wówczas sekwestrator przywołał żandarma i obaj zaczęli ją dobywać. Osaczony bronił się, jak mógł. Wreszcie żandarm strzelił i zranił go w rękę. Chłop pochwycił z pieca cegłę i rzucił w żandarma, a ten dał ognia po raz drugi i zabił biedaka na miejscu.

Podobne postępowanie nie jest w Galicyi bynajmniej wyjątkowe. Zabity wieśniak miał o tyle słuszność, że, podług ustawy *fundus instructus* (a więc i rzeczy, znajdujące się w chacie a niezbędnie potrzebne do życia) — wolne są od fantowania. Ruski (jak zresztą i mazurski) chłop uważa płacenie podatków za swój obowiązek nieuchronny, za spełnienie prawa cesarskiego, a wszelkie sprzeciwianie się w tym względzie — za bunt przeciw cesarzowi, którego nietylko boi się, ale też czci i szanuje. Można więc sobie wyobrazić, co zawrzało w duszy zastrzelonego, kiedy tak daleco się uniósł.

A to dopiero początek. Cóż będzie na wypadek tak zawikłanej wojny, jakiej się tu spodziewają? Co wyniknie z samego już faktu powszechnego uzbrojenia? Kto da biedakom utrzymanie? Zapasy w kraju, osobliwie u ludu są wyczerpane, zaś finanse państwa fatalne.

Między ludem ruskim krąży następujący projekt prośby do cesarza, ułożonej również przez chłopa, który o tej sprawie myślał od dłuższego czasu:

„Najjaśniejszy nasz cesarzu, najłaskawszy panie nasz!

„Kiedy z łaski pana Boga i z woli najłaskawszego cesarza Ferdynanda w r. 1848 pańszczyznę skasowano i nadano wszystkim

---

Z DZIENNIKA PESYMISTY.

Zacofany.

W ciasnej, błotnistej uliczce stał dom, od dołu do góry, jakby przez wzgardę, obrzucony błotem.

Wewnątrz podwórza stara oficyna zdawała się skulonym potworem; małe okienka zapełnione były napół brudnemi szybami, napół łuczywkami z drzewa, deski białe stały w rząd, niby zęby w paszczy ziewającego tygrysa; drzwi na rdzawych zawiasach przy dotknięciu wrzeszczały, jak koźlę w łapach drapieżnego zwierzęcia.

Oficyna składała się z jednej tylko dużej izby i sieni, w której, oprócz błota i gruzów od walącego się komina, nic nie było. W izbie zaś znajdowało się wiele rzeczy; kilka krzywych zydelków, stół na trzech nogach, tapczan z ostatkami zgniłej słomy i na błotnistej ziemi kilka desek — szczątków podłogi; w kącie stał duży piec, z kształtu podobny do samej oficyny — zdawało się, że to dziecię potworu, które od dawna zastygło, więc nie zionęło z paszczy ogniem i dymem.

W izbie mieszkał stary mełamed. Wiek i nędza zniecczuliły go do tego stopnia, że nie czuł zimna, głodu i błota. Odziany w strzępy łapserdaka, obrośnięty na całej twarzy włosem, obwieszony pejsami, ubarwiony krostami, starzec całe dnie siedział na tapczanie, zatopiony w księdze lub w głębokiej zadumie. Jeśli niekiedy wychodził na uliczkę, straszył zaognionemi oczami nawet niewybrednych synów Izraela. Mełamed od dawna nie miał uczniów, lękano się go i nazywano waryatem... Jakże się tedy zdziwiono, gdy stary Szloma, krewny mełameda, oddał syna do nauki szalonemu.

—o—

Lat kilka mały Icek uczył się u starca... Zrazu chłopak drżał, patrząc na straszną postać, lecz z czasem przywykł, a nawet pojął mistrza; więc gdy ten w przystępie obłędu zrywa się z miejsca, grozi pięścią w powietrzu i z pianą na ustach rzuca niezrozumiałe klątwy — Icek się nie trwoży, nie ucieka... tylko więcej się pochyli nad książką i głośniej powtarza hebrajskie wyrazy. Zato gdy mełamed budzi się z letargu i szału, gdy z uśmiechniętem okiem podejdzie do ucznia i, trzepiąc go zlekka po policzku, szepnie: wszystko będzie dobrze!.. wówczas Icek rzuca księgę i słucha mistrza. I jakież piękne rzeczy słyszy!..

W wigilię rocznicy zburzenia Jerozolimy dzionek był ciepły i jasny. Parę swawolnych promyków przedarło się przez mury i wpadło do oficyny. Jeden z nich zajrzał ciekawie do pieca, poszperał w słomie tapczanu i nareszcie zaigrał z siwą brodą mełameda; drugi zaś potańcował na spróchniałych deskach podłogi, przybiegł do księgi i usiadł na główce ucznia... Icek pod wrażeniem światła odchylił głowę, spojrzał na mistrza i widząc wesołe jego oblicze — zapytał:

— Czy cedry libańskie i teraz rosną?

— A na co to tobie wiedzieć — bachorze?

— Gdy wrócimy do Jerozolimy, czy będzie z czego zbudować taki kościół, jak by króla Salomona?

— A po cóż nam wracać do Jerozolimy?..

— Trzeba wracać — ciągnął dalej chłopak — wszak napisano, że tam w rzekach miód i mleko płynie...

Stary uśmiechnął się i rzekł:

— Nie zrozumiałeś, tego nie napisano.. Powiedziano: kraina mlekiem i miodem płynąca, to znaczy, bogata; była bogata, tak Bóg chciał... teraz pusta — czasy jej minęły.

— A przecież ty sam mówiłeś, że gdy niewola się skończy, będziemy znowu potężni.

— Tak, tak — wyszeptał stary i opuścił głowę.

Po chwili podniósł ją: czoło jego pokryło się głębszemi bruzdami, oczy przybrały wyraz twardy, jasny, jak stal polerowana. Zawołał:

— Tak!.. nastanie dzień... zwróci ku nam twarz Jehowa... zniszczy i w proch obróci niewiernych!.. Nie Palestyna, świat cały będzie śpiewał mu chwałę. Cedry libańskie pokryją wszystkie wzgórza... kościoły Salomonowe wzniosą się na całej przestrzeni od morza do morza!..

Oczęta Icka błysnęły zapałem.

— Czy wówczas Mesyasz przyjdzie? — zapytał.

Na twarzy starca rozlała się błogość.

— Tak, dziecię, wówczas ujrzymy w chwale i majestacie króla królów...

Chłopak mówił dalej.

obywatelom monarchii austryackiej konstytucyę, my, rolnicy mało-gruntowi, ruscy i mazurscy (sic!), w kraju galicyjskim, pozostawaliśmy w grubej niewiadomości i nie umieliśmy skorzystać z łaski, przez najłaskawszego cesarza Ferdynanda nam użyczonej. Kiedy wszyscy panowie i żydzi, jak rolnicy, tak i kupcy i przemysłowcy, i wszystkie stany, wskutek swej nauki i oświaty umieli skorzystać z praw, przy pomocy uczonych, lecz kosztownych adwokatów wygrywali procesy, przy pomocy sejmów, w których mieli przewagę, poprawiali dolę swoją w drodze ustawodawczej: my, wieśniacy z mniejszych posiadłości, nie umiejąc sami sięgnąć po to, co lepsze, musieliśmy się zadowolić tem, co nam zostawiono. Upośledzeni przez wszystkich, pozostawieni samym sobie, nie umieliśmy nietylko skorzystać z nowych ustaw, ale nie byliśmy nawet w stanie obronić tego, cośmy już posiadali. Nie wspominając o stratach różnego rodzaju, nadmienimy tylko, że wszystkie gminy przed uwolnieniem od pańszczyzny posiadały pod dostatkiem pastwisk, łąk i lasów, lecz po zniesieniu pańszczyzny wskutek procesów, osobliwie serwitutowych, straciliśmy przez nieumiejętność swoją pastwiska i lasy, jakkolwiek byliśmy w używaniu ich nieprzerwanem przez wieki, chociaż od nich w większej części podatki opłacaliśmy i pańszczyznę opłacamy do dnia dzisiejszego! Gminy zubożały, i to wszystkie, z braku pastwisk i lasów, i co rok mniej są w stanie opłacać wszelkie podatki, czego dowodem z każdym rokiem w sposób zastraszający wzmagające się sekwestracye i licytacye za wszelkiego rodzaju długi, jakkolwiek życie nasze, tj. całe pożywienie i odzież, jest skromniejsze, niż wszelkich innych stanów, nietylko w całem państwie, lecz w całej Europie. Dość powiemy, jeśli przywiedziemy tę okoliczność, że mięso tylko raz na rok niektórzy zamożniejsi spożywają, zaś sera i wszelkiej okrasy połowa ludności rolniczej małogruntowej w Galicyi nigdy nie jada. Odzienie nasze, jak wiadomo wszystkim, składa się z grubego płótna, które sobie sami wyrabiamy, zaś w zimie nadto z butów i kożucha baraniego. Lecz i tych brak, a wielu z nas nie może w zimie dzieci posłać do szkoły, bo nie mamy ich w co obuć, ani odziać.

Przez taką nędzę doprowadzeni prawie do rozpaczy, zwracamy oczy nasze nasamprzód ku Bogu wszechmogącemu, a następnie ku Tobie, Najjaśniejszy nasz monarcho: ratuj nas, Panie nasz najłaskawszy, od zguby, dopomóż do odzyskania naszych lasów i pastwisk przy zakupnie gruntów pańskich, które obecnie wskutek niezmiernych długów za wszelką cenę sprzedają się, nabywcami zaś ich byli dotychczas wyłącznie ludzie zagraniczni i żydzi. Zważywszy, że cudzoziemiec wyzyska ziemię, wyrąbie wszystkie lasy i z pieniędzmi tu zebranymi, ku wielkiej szkodzie naszego kraju, wraca za granicę, do domu; zważywszy, że żydzi, jako najwięcej posiadający majątków, od wielu ciężarów, jak powszechnie wiadomo, w rozmaity sposób usuwają się; zważywszy, że lud wiejski tam, gdzie żydzi są właścicielami lub posiadaczami, najbardziej i najprędzej ubożeje; zważywszy następnie, że wielu tutejszych krajowych chrześciańskich właścicieli większych posiadłości przez podróże swoje za granicę, przez życie wystawne, nader drogie, przy majątkach swoich utrzymać się nie może, a nadto przez zakupno towarów zagranicznych dla prowadzenia pańskiego życia, jakotęż przez wspomniane podróże, zagranicę wzbogacają a kraj do ubóstwa przyprowadzają: błagamy Cię najpokorniej, Panie nasz najłaskawszy, racz z miłosierdzia ku nam i dla dobra państwa Twego zająć się losem naszym; mało dla siebie, więcej dla państwa składamy; rozkaż otworzyć, za przykładem najjaśniejszego cesarza niemieckiego i rosyjskiego, bank dla skupu większych posiadłości ziemskich na korzyść wieśniaków - rolników mało - gruntowych; nie dopuszczaj, ażeby kupowali ziemię pańską cudzoziemcy i żydzi, którzy jako najruchliwsi ze wszystkich, przez konstytucyę zostali najbogatszymi nad wszystkie stany: zrób konstytucyę korzystną i dla rolników wiejskich, którym ona dotychczas, jako ciemnym i nieporadnym, wiele złego przyniosła, a uszczęśliwisz w ten sposób najliczniejszą i zawsze najwierniejszą Twemu najdroższemu tronowi ludność rolniczą i zyskasz dla swego państwa siłę wielką, bo lud szczęśliwy, ostatniego człowieka i ostatni krajcar ofiaruje chętnie i z wszelkim zapałem dla utrzymania tronu Twego i Twego państwa, a swojej drogiej ojczyzny.“

Możnaby dużo powiedzieć z powodu tej prośby, zawierającej w formie umiarkowanej i lojalnej wcale niedwuznaczne żądania, lecz na razie wstrzymamy się od objaśnień. Podkreślamy tylko ten fakt pierwszej w swym rodzaju prośby zbiorowej, w imieniu całej ruskiej i mazurskiej ludności rolniczej. Maluje ona obecne stosunki w Galicyi wymownie.

Hucuł.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

EPIDEMIA PESYMIZMU.

I.

Gwiazdkowy numer jednego z pism miejscowych przyniósł dwa lata temu dziwną czytelnikom swoim kolendę. Obdarzył ich wiązanką fraszek, pisanych prozą i wierszem, z których co najmniej połowa nastrojona była na ton minorowy. Ten biadał na jesień, która ostała się snać tylko jeszcze w dziennikach, albowiem wszelką inną wodę mróz dawno już pościnał; ów na niebad we wszechświecie, trzeci na los nieubłagany, inny na pustkę w sercu... wszyscy zawodzili chórem, a kobiety, jak płaczki greckie, idące za pogrzebem, biły się w piersi i rozpuszczały włosy na wiatr grudniowy— z rozpaczy. Uderzony dziwnem i nowem dla mnie zjawiskiem zacząłem pilniej rozglądać się po piśmiennictwie i dostrzegłem, że od pewnego już czasu łzy udane i łzy szczere tu i owdzie piskliwiej wrzawie jego wtórują. Pesymizm w całej swojej nagocie zawitał do nas na szczęście bez ciężkiego aparatu metafizyki. Przebiegł on cywilizacyę europejską, którą spodziewał się niby cyklon spustoszyć, rozsypać w gruzy, jeśl.

— Srul, który ma syna, co będzie doktorem, mówił ojcu mojemu, że może się mylimy, może już był mesyasz, a niepoznaliśmy go.

Stary zadrżał ze zgrozy i krzyknął:

— Głupi Srul!.. Galilejczyk... nigdy!.. Cóż on uczynił dla nas?.. Co uczynił dla tych, którzy poszli za nim?.. Czy przyniósł pokój?!.. Opowiadałem ci, jak goje mordują się nawzajem, jak silniejsi słabszych zakuwają w kajdany, wypędzają z domów... Niech się niszczą!.. Patrzmy na to i chwalmy wielkie imię Pana.

— A czy prędko Mesyasz przyjdzie? — zapytał Icek.

— Przyjdzie, gdy będziemy tego godni! Może dziś... może jutro... w każdej chwili powinniśmy oczekiwać.

Chłopak zamyślił się — i rzekł:

— Jankiel, który ma kram obuwia, mówił, że goja oszukać nie jest grzechem!..

— Jankiel nie rozumie, co mówi: duch Izraela powinien być bez skazy, albowiem wszystko, co mizerne — zginie! Niech się goje upadlają — niech giną!.. Jeżeli możemy przyczynić się do ich upadku — cieszmy się i działajmy; im bardziej znikczemnieją, tem prędzej się doczekamy czasu odkupienia!..

Starzec zamilkł, potrząsł głową i spokojniej dorzucił:

— Oszust więcej traci, niż oszukany... Miejmy żądło żmii, lecz nie traćmy jadu na drobnostki powszednie...

— Rabbi — pytał malec — mówią, że ty nauczałeś zawsze twych uczniów, ażeby odbierali od gojów domy, grunta, lasy... sam zaś nigdy w całem życiu ani grosza nie wziąłeś do ręki — dlaczego?

Starzec utkwił w twarzy chłopca swe szkliste źrenice i rzekł:

— Gdy wojska walczą, wódz zostaje poza szeregiem, stoi na wzgórzu i kieruje walką; ten, kto się zmiesza z tłumem i weźmie broń do ręki, nie jest wodzem, lecz zwykłym szeregowcem i głosu jego nikt w gwarze nie słyszy.

Icek patrzył na mistrza pojętnemi oczami i chciwie łowił każde jego słowo.

Ten zaś, zapalając się, powstał, wyciągnął rękę i podnosząc głos wołał:

— Jam jest wodzem!.. Ja wiem, dokąd skierować żołnierzy, lecz broni nie wezmę do ręki!.. Znoście głód i nędzę, jak ja znoszę, a walczcie tak, jak nauczam — a zwalczymy.

Icek nie mógł dłużej wytrzymać płonącego wzroku starca i opuścił głowę. Widząc to melamed, zamilkł, usiadł na tapczanie i zamarł w marzeniach.

Icek, wróciwszy do domu, powiedział ojcu, że jeść mu się nie chce, a tych kilka groszy, które wynoszą koszt jego obiadu, niech będą dlań odłożone. Ojciec zadziwił się, lecz nie przeczył. Od tej chwili Icek żywił się jak asceta i odkładał grosze do skrytki.

—o—

Minęło lat kilka. O świcie ktoś zapukał do drzwi melameda.

— Wejdź — rzekł stary.

Na progu ukazała się postać piętnastoletniego już Icka. Młodzieniec miał umocowany na plecach spory tłomoczek, a w ręku kij, na którym oznaczony był łokieć.

— Idziesz już? — spytał stary.

— Idę, rabbi.

Starzec wziął z ręki młodzieńca kostur, przypatrzył się znakom i zapytał:

— Czy łokieć nie szachrajski?

— Nie — rabbi...

— Czy towary w twym tłomoczku dobre?

— Najlepsze...

— Więc ruszaj w imię Pańskie... sprawuj się tak, by twemu słowu wierzono, jak przysiędze, to ci większą korzyść przyniesie, niż Janklowi jego szachrajstwo. Pamiętaj w każdej chwili, że żołnierz powinien być wytrwałym, wstrzemięźliwym, wiernym obowiązkowi... i bez litości... Nie zapomnij także, że chłop lubi gorzałkę, a pan pochlebstwo....

Icek pożegnał starca. Wychodząc z miasta, kupił butelkę wódki, wsunął ją do kieszeni i pomrukując majufes—wyruszył.

—o—

Lat kilka wędrował Icek piechotą z miasta do wiosek i napowrót, aż razu jednego ujrzano, że wyjeżdża na wozie, naładowanym towarami. Jedni myśleli, że się zbogacił, inni, że pożyczył pieniędzy dla rozszerzenia handlu. Tak było, czy inaczej— Icek od tej chwili zapuszczał się w coraz dalszą wędrówkę, zwiedzając dwory, wioski i jarmarki. Zawsze małomówny, zawsze półgłodny, niczem się nie obrażał, nikogo nie oszukał... wierzono mu i chętnie dawano pierwszeństwo przed innymi handlarzami.

—o—

nie rozwiać w nicość; lecz już ucieka stamtąd, zostawiwszy zaledwie strzępki, którymi się zabawiają umysły czujniejsze i nie łapiące się na filozoficzne bałamuctwa Hartmanów; dziś zaś prawem mody i zwyczajem wygwizdanych wirtuozów przybył nad szarą Wisłę i brzegi bredniami swemi chce kolonizować. Nie oparły się mu pióra najdzielniejsze i niemieszkały należytego haraczu mu złożyć. Prus, zazwyczaj tak pogodny i wesoły, nieumiejący tragedyi przedstawić bez humorystycznej scenervi — sposępniał na chwilę i popatrzywszy z wysokości orlego lotu na ten padół nędzy, dojrzał w nim tylko pleśń, która się rusza, rozrasta, zabarwia, ożywia i... w końcu znika. Gotów bym go posądzić, że podsłuchał rozmowę, jaką kazał Turgeniew prowadzić śnieżnej Jungfrau i niedostępnemu Finsteraarhorn o krótkotrwałości mrowiska ludzkiego. Wł. Okoński naigrawał się gorzko nad ślepotą wiedzy człowieczej, brutalnymi instynktami panów stworzenia i wieloma, wieloma jeszcze przyczynami złego i smutku. Z czasem rozczarowanie stało się przedmiotem poważnych rozstrząsań, lecz zamiast stracić, zyskało jeszcze trwalszy pod nogami grunt— a namiętna obrona filozofii zwątpienia w dziełku p. Dębickiego*) nagrodzona została przeciągłym oklaskiem, którego echa dotąd jeszcze rozlegają się i prawdopodobnie skrystalizują w ponowne utworu wydanie. *Ateneum* wstrząsnęło nerwy przekładem „Prometeusza“ Ackermanowej, piorunującego bólem i gniewem, *Niwa* napawa się w pięknej pracy bezimiennej rozdzierającymi serce śpiewami Leopardiego, a teraz oto pisze panegiryk wszystkim doboszom pesymizmu metafizycznego. Słowem, muza ojczysta i mądrość ojczysta prawo obywatelstwa zagranicznemu gościowi przyznały — więc skorzystał z tego, rozparł się na swem stanowisku i głos cherubina-kusiciela coraz częściej podnosi.

Powie kto może, że ziarno nie rozpleniłoby się tak łatwo, gdyby nie padło na przygotowaną glebę?

Zapewne, inne ziemie są w porównaniu z „Krajem przywiślańskim“ Arkadyą — on mógłby z łatwością zastąpić w żalach i skargach wszystkie i nie kosztowałoby go to ani przymusu, ani wysiłku. W dobie najwyższego rozkwitu poezyi polskiej struna boleści była nieledwie dominującą. Niech zaświadczy to Gustaw, który, oszalały z rozpaczy, przeciw Bogu rokosz podniósł i jak Prometeusz zmierzyć się z nim chciał; niech powie Krasiński całym swym *Przedświtem* i *Irydyonem*, niech potwierdzi Słowacki ponurym *Grobem Agamemnona*. A Goszczyński, a Ujejski, a wszyscy ci wieszcze, blizcy i dalecy, których łkającymi rymami aż ludzie obcy i szczęśliwsi wzruszali się.

Ale pamiętajmy o tem, że żaden z nich natury całej nie wyklinał, wszechświatowi nie złorzeczył. Widzieli w teraźniejszości „Dolinę łez,“ którą tak cudnie Grottger uilustrował, lecz nikomu nie przyszło na myśl dolę swą uogólniać i podnosić do znaczenia fatalności, ciążącej nad ludzkością całą. Choć przecież mistrzów, którzyby mogli ich zaprowadzić na błędne manowce pesymizmu wszechświatowego, nie brak było. Byron, tak chciwie pochłaniany przez Słowackiego, tak jawnie wyzierający z *Beniowskiego*, *Lambra*, *Ojca Zadżumionych* (Jeniec z Czyllonu), umiłowany przez Mickiewicza, który pieczęć jego na największych swych arcydziełach, jak *Konrad Walenrod*, wycisnął, *Giaura* i *Pożegnanie Harolda* przekładał— nikogo jednak nie nęcił *Kainem*, najwyższym i najgłębszym wyrazem poetyckiego bólu. Żaden z nich nie był na tyle doktrynerem, by zaglądać w otchłań bezdenną spekulacyi i tam aż szukać uzasadnienia i usprawiedliwienia dziejów. Nie odbierali otuchy społeczeństwu, które pociechy i nadziei bardziej potrzebowało, niż każde inne. Umierając, mogli tryumfować, że nikomu czoła nie poorali zmarszczkami nieuleczalnej zadumy, nikomu piersi nie przygnietli ołowianem brzemieniem beznadziejności, lecz owszem, zagrzewali do pracy i czynu. Duch postępu i wspinania się wiejc z ich apostolstwa.

I w rzeczy samej, każdemu wolno bawić się w załamywanie rąk — prócz tych, przed którymi otworem stoi długa droga działalności. Literatura polska dlatego właśnie stękać i szlochać nie ma prawa, że jeszcze zrobiła mało, a sztuka długa — życie krótkie. Teraz dopiero zaczął się w niej ruch, więc grzechem śmiertelnym, krokiem samobójczym jest rzucać paraliż na przygotowane do owocnej pracy dłonie. Można sobie w pijanym bólu po stracie kochanki słać groźby i przekleństwa pod adresem Boga, pytając:

> Czy go jękł dzwonów głoszą,
> Czy krakanie wron?!

ale stawiać pod pręgierz przyrodę całą, wszystkie jej twory, dowodzić, że nawet dobrodziejstwa są tylko niebezpiecznemi darami Danaów, że trzeba zrzucić z siebie kajdany bytu lub pochować w ciasnej celi klasztornej rozum — to objaw dziwnego nabożeństwa, czy też amatorstwa.

Nie inaczej. Do takiej a nie innej konsekwencyi zmierzać musi każdy zasadniczy pesymizm. Nie jest on uczuciem, ani usposobieniem platonicznem, lecz osadzać się musi w duszy ludzkiej jako wyraźny, określony zamiar pozbycia się cierniowej korony. Fantazya germańska znalazła na to sposób w zlaniu się z Nirwaną, że jednak trudno byłoby liczyć na łatwowierność, wypadało bzdurną i niezgodną z wymaganiami kultury nowoczesnej propagandę poprzeć złożonem rusztowaniem filozofii idealistycznej. Pomyśleli o tem pachołkowie jej i wierni wymaganiom obstalunku uszczęśliwili świat wynalazkiem, któremu na imię Hartmanizm, a którego sekretem i kluczem — kuglarstwo. Świat zawsze skłonny do recydywy dziecińst wa, słuchał i patrzał ciekawie na pajacowskie produkcye — niedługo wszakże; dziś sami prawowierni czciciele systemu zwątpienia szydzą okrutnie z nadwornego błazna metafizyki, dziwiąc się, że prosta szopka, udająca tragiczną scen(znalazła chętnych widzów.

Niestety—tylko owe produkcye abstrakcyjnej magii spodobały się naszej myśli i przystęp do głów znalazły; rzetelne zaś oceny i demaskowania ich przez Mainländera, Vashingera, Pawła Christa, Hugona Sommera, odbywają się bez żywszego udziału polskiej inteligencyi. Inaczej jakżeby objaśnić wtargnięcie do niej, ba, rozwielmożnienie się negacyi życia i zadowolenia? Jak wytłomaczyć, że tak młodzi, jak Rzewuski pisarze, już chcą w innych

———

*) *Postęp i szczęście*, wyd. 2.

Minęło lat wiele. W pochmurny i mglisty dzionek jechał Icek zwolna nędzną wiejską drożyną, rachował coś na palcach, mruczał i uśmiechał się. W tem ujrzał przed sobą dworek, targnął lejcami i wjechał we wrota. Na dziedzińcu biegali sługi, pakowali sprzęty... Pani domu stała na ganku, smutna, zamyślona. Pan, nadrabiając miną, pręcikiem otrzepywał swe buty z kurzu, którego zresztą wcale nie było. Icek zatrzymał konia u wrot i pokornie ze zdjętą czapką podszedł do pana.

— A!.. jak się masz Icku?

— Dziękuję wielmożnemu panu... chciałbym — ot — kilka słów powiedzieć na osobności.

Pan odszedł z Ickiem na stronę.

— No, cóż takiego.

— Słyszałem, że na wielmożnego pana za trzy dni licytacya.

— Więc cóż?

— Ot, ja chciałbym zrobić tak, żeby i panu było dobrze i mnie.

— Cóż, może pożyczysz pieniędzy?

— Eh!.. kto teraz pożycza pieniądze, ja tylko chcę powiedzieć wielmożnemu panu, że jak się tu zbiorą nasi szachraje i niemcy— majątek wezmą za nic. Już Halt Michel dał innym odstępnego i wiadomo, że skończy się na trzydziestu pięciu tysiącach—ani grosza więcej.

Pan strwożył się.

— Trzydzieści pięć tysięcy!... toż ledwo na spłacenie bankowego długu!

— A tak — spokojnie potwierdził Icek— pan zostanie bez grosza; ale ja mogę im popsuć... Niech pan mnie sprzeda majątek dziś; jutro pan spłaci dług i zostanie dziesięć tysięcy — czy zgoda?..

— Więc dajesz czterdzieści pięć tysięcy?

— A tak...

Gospodarz uścisnął rękę Icka i zaprosił do pokoju.

—o—

Czy majątek rzeczywiście miał być zlicytowany za trzydzieści pięć tysięcy—trudno wiedzieć... wiadomo tylko, że Halt Michel wściekał się i wymyślał na Icka niestworzone rzeczy.

—o—

Po upalnym dniu zachód słońca wcale nie smucił ziemi. Świergotały ptaki, strzekotały w trawce polne koniki, trzoda wracająca z pola ryczała wesoło. Stary melamed siedzi na ganku wiejskiego dworu, patrzy błędnym wzrokiem na zachodzące słońce, na szumiące drzewa i kiedy niekiedy po jego twarzy przebiega drganie; jest-li to uśmiech, czy gniew na zdrętwiałej twarzy—trudno poznać. Dwadzieścia pięć lat minęło, jak wyprawił piechura na walkę i oto on okrył się sławą... Więc wódz radby się uśmiechnąć, lecz skamieniała twarz ascety nie chce się nagiąć do ruchu.

W tem oczy starca zamigotały jak jaszczurcze i wpatrzyły się w drogę: parobczak, wracający z pola, spotkał przejeżdżającego mimo proboszcza i coś z nim rozmawia. Widzi melamed, jak Walek kornie chyli się do ręki *dobrodzieja*, ten zaś niechętnie trzęsie rękami i z ruchem gniewu odjeżdża.

— Coby to znaczyło — pomyślał stary — czy może wyrzeka, po co Walek pracuje u żyda? Cóż! niech walczy, jeśli ma dość siły — zobaczymy...

Walek już był na dworze; przechodząc mimo staruszka, uchylił czapki. Melamed potrząsł głową i drżącym głosem zapytał:

— O czem, Walku, rozmawiałeś z proboszczem?

— At!.. — mruknął parobek niechętnie.

— Powiedz, może ja ci pomogę.

— E, gdzie tam...

— A może i lepiej będzie, jak powiesz!

— Widzicie, prosiłem o ślub z Kasią... chciałem za dwa ruble, a proboszcz cztery ruble i nie gadaj!..

Stary podumał, pomruczał i rzekł.

— Idź Walku do pana i powiedz, że melamed go prosi, by ci dał cztery ruble, rozumiesz, cztery ruble!.. To stary melamed daje...

Parobek nie zrozumiał. Jakto?.. żyd!.. I co jemu za potrzeba. Skąd taka łaska?.. Nareszcie skłonił się do stóp staremu i odszedł.

Starzec popatrzył za nim, skrzywił usta i szepnął: człowieka łatwiej kupić, niż majątek... On w dwójnasób to odrobi... Koń, któremu dają owsa, większy wóz wiezie.

Zadumał się, zmrużył oczy i, siedząc jak posąg nieruchomy, dorzucił:

— Mojżesz rozbił przykazanie boże o złotego cielca... Oni także rozbijają przykazania... potem cielca przetrwonią i zostaną z niczem. A my...

Starzec zamilkł. Usnął, czy marzył...

Brolis.

———

mrozić zapał i energię, że Kraushar gdzieś tam, z przepadłej wyspy, śle dumy nad znikomością rzeczy ludzkich?

Jeśli prawdą jest, że kierunki poetyckie i filozoficzne muszą, jak zaraza, obejść dookoła ląd stały — my się od nihilizmu Schopenhauerowskiego nie wywiniemy, ale jest to zaledwie przypuszczenie, którego podstawność wartoby sprawdzić. Nauka wierzy, że urządzeń prawnych i społecznych nie można jak hartowne rośliny przenosić żywcem z miejsca na miejsce — lecz wprzód zbadać widoki i warunki przystosowywania, wierzy zatem, że cywilizacya i narody nie są obrazami, odbitymi podług jednego szablonu. Dlaczegóżby nie miało się to stosować do przypadłości i chorób literatury? Że nie każda umysłowość musi przebywać wszystkie okresy jednakowo — dowodem piśmiennictwo rosyjskie, które romantyzmu prawie nie znało i nawet tonąc w mgłach podobłocznych, pamiętało o ziemi. Raczej winniśmy korzystać z krytycznej bystrości zachodu i z tą pochodnią w dłoni szukać, co wybrać, a co odrzucić, niż niewolniczo małpować każdą śmielszą nowość. „Zgniłej“ kulturze Francyi lub Niemiec wolno cząstkę swych sił poświęcić na zabawkę w pesymizm, na kontemplacyę potworności bóstwa, bezrząd we wszechświecie i głupotę historyi. Dosyć im zostanie pracowników i dobro powszechne tego pokątnego próżniactwa nie odczuje — ale tutaj co innego. Tu grasuje wrodzone bezrobocie, a materyału, który należy przerabiać, walają się stosy całe — tu nie wolno literaturze rozmarzać się i rozmazywać w bezcelowych kwileniach. Bo i do czegóżby one doprowadziły? Istnienia nie zażegnają — to daremne. Niech sobie kto deklamuje za Ackermanową

Plus d'hommes sous le ciel, nous sommes les derniers!

a pomimo to lazurowe niebo jeszcze wieczność całą będzie nasz wzrok radować, a ludzie w myśl Pisma świętego w dalszym ciągu będą się rozmnażać i zaludniać ziemię. Postawmy jeno nawoływania pesymizmu obok niewzruszonej potęgi naszego umysłu samozachowawczego — a ich niemoc i niedorzeczność ukażą się w całym ogromie. Żyć — to rozkaz wewnętrzny, któremu ten i ów w nadmiarze cierpienia wypowie posłuszeństwo, ale który niepodzielnie, despotycznie, niezwalczenie i niezmordowanie panuje nad człowieczeństwem. Będzie on zawsze urągał pogrzebowym krakaniom sofistów w rodzaju Hartmanna i przeciwstawiał im na dziś, na jutro i na nieskończoną przyszłość swoje: *E pur si muove!*

A więc żyć musimy, choćbyśmy nawet łudzili się, że nie chcemy. A w takim razie żyć, nie jak Dyogenes, z pogardą dla dóbr tego świata, lecz z dążeniem do ideału, który w nas sama niedoskonałość nasza wszczepiła. Toż ów niezasłużenie szczęśliwy autor zasady bezwiednej i filozofii wyzwolenia sam pojąć nie może bezczynności i zachęca do postępu, rozwoju — wprawdzie z mądrą intencyą zbawienia kiedyś z pomocą wyrafinowanej do najwyższego stopnia cywilizacyi — złej, nieświadomej woli, ale któż nie widzi w tem bezsilności wobec również nieświadomego musu kroczenia wciąż naprzód i naprzód?

Przerzućmy teraz ten wynik najelementarniejszego rozumowania na grunt tutejszy, o ile głośniej i dobitniej przemówi on.

Tem większą siłę żywotną posiada organizm, im bliższym jest rozkwitu młodości, niezależnie od tego, czy się doń zbliża, czy go już przebył. Z narodami i cywilizacyami dzieje się to samo. Dalecy jeszcze jesteśmy od przesytu, jaki znamionuje literaturę nadobną we Francyi — nie mamy nic wspólnego z analizą bezlitosną najdroższych uczuć i najświętszych węzłów, w jaką uzbroiła się tam powieść, analizą, która nie spocznie póty, aż oddzielając atom od atomu w sferze dobra i piękna napotka w końcu próżnię. W stosunkach polskich nie masz jeszcze „okrutnych zagadek“ Bourgeta i Richepinowskiej filozofii najszlachetniejszych popędów — i może nigdy ich nie będzie, jak jej nie było w całej Francyi, jak niema w Niemczech i wszędzie, gdzie warunki przyrodnicze wlały więcej cementu w naturę ludzką, a mniej ognia. Piśmiennictwo polskie do swego apogeum nie doszło, a społeczeństwo zdolności do życia dostatecznie nie rozwinęło — złym więc jest przyjaciel, co mu w tej żmudnej, lecz bohaterskiej pogoni podstawia zniechęceniem nogę, popełnia grzech ciężki przeciwko bliźnim i przeciwko prawdzie, która już rozwiała piękną bańkę niemieckich systemów i zostawiła z nich krople brudnych mydlin.

Zatrute tchnienie pesymizmu obałamuciło już niejeden zdrowy rozsądek, oziębiło niejedną zapaloną głowę. Jeszcze zaraza całą potęgą nie wkroczyła, a już dostrzedz można ślady apatyi i pognębienia — oby nie stawały się częstszymi! Czuć w powietrzu jakiś ciężar, z którego ogół zazwyczaj sprawy sobie nie zdaje, choć pod nim niejedne plecy już się ugięły, czoło pochyliło. Komuż, jeśli nie literaturze narzuca się szczytne posłannictwo wyprostowania ich na nowo?

Filozofia, u nas jeszcze w pieluchach spoczywająca, posiada skuteczne środki na błędne ogniki bagien metafizycznych i rozpaczne wróżby. Ona najłacniej i najrychlej wyśledza w łonie swem szalbierstwa — wartoby zapoznać ogół bezpośrednio ze zdaniem, jakie sobie o przedmiocie wyrobiła, a przekonałby się, że chwast to dosyć ładny, niezmiernie bujny, ale właściwy także niepokojom młodości, wszelkim stanom przejściowym, poprzedzającym równowagę ducha i o zgrozo — rozrzedzeniu mózgu. Ten arystokratyczny rodowód sam oświetla jego cywilizacyjną wartość.

Oto treść genezy pesymizmu bezwzględnego i jego znaczenie dla naszej egzystencyi duchowej.

Kursuje nadto inny odłam szkoły zrozpaczonych. Dąży on nie do unicestwienia istoty ludzkiej, lecz do skarłowacenia jej kwietyzmem i gnuśnością, do wyrodzenia duchową niedolą — i łakomie chwyta prądy pesymistyczne, by z nich ukuć broń przeciwko „materyalistom.“ Pogadamy o nim w przyszłym numerze, nie tyle dla zważenia doradzanego przezeń ratunku, ile dla ocenienia oskarżeń i napaści probierzem uczciwości pisarskiej.

(D. n.)

N. Hirszband.

KARTKA Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

II.

Znachory i wiedźmy.

W pojęciu czarodziejstwa łączą się dwie czynności: naprowadzania na oddzielnych ludzi i grupy różnych klęsk i zażegnywania kiedy już nadeszły. Jeżeli rozpatrywać będziemy fakty, nagromadzone przez etnografię, przyjść musimy do przekonania, że czynności takie wcieliły się w kilka odmiennych kategoryj społecznych, względem których postępowanie ludności bywa różnem, stosownie do charakteru każdej z nich. W Europie średniowiecznej zmięszano je wszystkie bezładnie w ówczesnej wiedźmie.

Przedewszystkiem rzuca się nam w oczy istniejący u wszystkich ludów *znachor*. Leczy chorych, która to czynność, wobec pojmowania choroby, jako nawiedzenia przez złego ducha, zasadza się na zażegnaniu. Znachorów tych uważamy za szarlatanów, zwłaszcza gdy czytamy np., że w N. Kaledonii z chorego dobywają kamień i ukazują go jako demona choroby. Ale i o tem nie należy zapominać, że takim oszustwom towarzyszy u zaklinaczów pewien stan subjektywny, którego niepodobna uważać za udany. Podróżnik Wrangel powiada: „Szamani syberyjscy na pewno nie są szarlatanami. Stanowią, jeżeli tak rzec można, zjawisko psychologiczne, zasługujące na uwagę. Za każdym razem, ile razy widziałem ich sprawujących swe obrzędy, czynili na mnie silne, trwałe wrażenie. Wzrok obłąkany, oczy wytrzeszczone, pierś podniesiona skutkiem silnego oddychania, mowa urywana i konwulsyjna, mimowolne, jak się zdaje, rozszerzenie twarzy i całego ciała, włosy najeżone, monotonny, towarzyszący całej sprawie odgłos bębna — wszystko to przyczynia się do wywołania wielkiego efektu.“ U Lubbocka, skąd zaczerpnęliśmy powyższą scenę, czytelnik znajdzie mnóstwo podobnych przykładów, upewniających nas o tem, że wielu czarodziejów „wierzy w posiadanie władzy nadnaturalnej,“ że są przeświadczeni o swej „wyższej mądrości.“ Kiedy czytamy opisy, jak czarodziej wygania tańcem, śpiewem i gestami chorobę, lub ją zamawia, bez względu czy się to dzieje u plemion murzyńskich czy polinezyjskich, albo indyjskich, wszędzie oglądamy to samo. Naprzód zaklinacz „pogrąża się w zadumę,“ po kilku minutach „zaczyna drżeć, twarz jego wykrzywia się, a członki konwulsyjnie poruszają.“ Objawy te wzrastają w siłę, aż wreszcie zaczyna on „trząść się, jak gdyby pod wpływem gwałtownego napadu febry.“ Drżeniu towarzyszy szept i łkania, żyły nabrzmiewają, pląsy stają się namiętniejszymi — wtedy czarownik pasuje się z złym duchem i zmusza go do opuszczenia chorego, „głos traci swój dźwięk naturalny, twarz blednieje, wargi sinieją, oddech staje się utrudnionym“ — słowem, zaklinający przypomina szaleńca. Virchow, który badał w chwili takiej wiedźmę eskimoską, przyszedł do przekonania, że miał przed sobą rzeczywisty atak konwulsyjny. To jedno już wskazuje, że w znachorach widzieć winniśmy nietylko ludzi przekonania, lecz jeśli uwzględnimy ciągłe powtarzanie się takich stanów osłupienia konwulsyjnego, nadto jeszcze chorych na rozstrój nerwowy. Nawet przy czytaniu opowieści o podkładaniu kamieni i ukazywaniu na nich jako na uosobienie demona, nawet i tu możemy przypuszczać w znachorze pewien zasób dobrej wiary, tem snadniej, że i takie postępowanie przynosi ulgę w chorobie. Obecne badania nad hypnotyzmem wykazały całą doniosłość *wyobraźni* i licznemi świadectwami poparły twierdzenie, że wszelka wiara uzdrawia. Weźmy pierwszy lepszy fakt. Młoda dziewczyna dostawała tańca św. Wita, wprawiano ją tedy w sen półhypnotyczny, tak że zachowywała świadomość o wszystkiem, co wtedy zaszło i poddawano jej myśl, że drgania konwulsyjne ustąpiły; ustawały one w rzeczy samej — początkowo na chwilę, po kilku posiedzeniach — na zawsze. W ten sposób z powodzeniem leczono już niektóre newralgie, choroby nerwowe, w niektórych razach głuchotę, ślepotę, anestezyę, skurcze, paraliż, bóle głowy, jąkanie i wogóle wszystkie niedomagania, „będące wynikiem nie zmian organicznych, ale funkcyonalnych.“ Jeśli uwzględnimy te rezultaty najnowszych badań, jeśli następnie zauważymy, że najprzedniejszą pobudką wyzdrowienia jest tu wiadomy stan wyobraźni, zrozumiemy, że wyjęcie podłożonego kamienia *) z pod chorego i samo zapewnienie, że

*) Co do wpływów wyobraźni i znaczenia talizmanów, niech mi wolno będzie przytoczyć fakt następujący, za autentyczność którego poręczam. Jedna obywatelka z południowej Rosyi, osoba światła i bez przesądów, a nadto znająca się nieco na leczeniu, urządziła w swych dobrach apteczkę i zajmowała się udzielaniem bezpłatnem pomocy. „Po kilku latach — mówi — zauważyłam, że w chorobach niektórych nerwowego pochodzenia najskuteczniejszem okazywało się działanie na wyobraźnię. Zaszyty w woreczek zwykły kamyczek, jeśli poręczyłam, że to jest świętość, wystarczał do ulżenia w cierpieniach.“ Tu zauważymy jeszcze, że ludność z zupełnem zaufaniem szła do niej i słowo jej wystarczało za wszystko.

źródło choroby zostało już usunięte, może podziałać przynajmniej w niektórych wypadkach i przynieść ulgę. Znachor widzi ten skutek; wprawdzie nie pojmuje przyczyny, tak samo jak nie rozumieją tłomacze „cudów uzdrowienia,“ doznanych w „świętych“ miejscach, ale to niezrozumienie pomnaża jedynie wiarę subjektywną w władzę nad duchami. W ten sam sposób można objaśnić wpływ przeciwległy. Wiele razy zauważono, że dotknięty przekleństwem znachora umiera. U Hellwalda spotykamy opowiadanie o „fitaurach“, królikach-czarodziejach plemienia Sórrari (Senegambia); jeśli kto pała zemstą, idzie do takiego zaklinacza i ofiaruje mu podarunki w zamian za rzucenie uroku na osobę znienawidzoną. „Fitaure“ wtedy „zamyka duszę ofiary“ w specyalnego rodzaju garnek, a dotknięty takimi czarami, stara się o przebłaganie i zdjęcie zaklęcia i skoro tego nie osięgnie, umiera. Wspomniany etnograf tłomaczy to użyciem jadu; być może, iż i ten środek odgrywa rolę, ale sądzę, że wartoby nie zapominać o wpływie demoralizującym wyobraźni. Że to jest możebne, mamy dowód na keczuanach peruwiańskich. Istnieje tam przesąd, że kto poruszy prochy dawnych mumij, chorować będzie życie całe; wierzenie to zakorzeniło się tak mocno, że wielu, którzy z chciwości poruszyli mogiły, słabną wskutek „moralnego upadku ducha, w krótkim czasie tracą apetyt i umierają w powolnem wycieńczeniu.“ Znachor, widząc skuteczność zaklęć (i talizmanów) w kierunku dodatnim i ujemnym, mógł rzeczywiście uwierzyć w swą moc i wzbudzić zaufanie ku sobie u współplemieńców, spotęgowane jego stanami konwulsyjnymi, w których umysł pierwotny widzi opętanie, oraz trybem życia. Kiedy australijczyk obawia się nocą na krok odejść od ogniska, znachorzy przepędzają noc całą na mogiłach, zdala od obozu, a czyn taki dowodzi wielkiej samoufności w swą władzę nad duchami, gdyż u tych wyspiarzy, którzy zaledwie zdołają zliczyć do 10 i należą do najniżej położonych grup ludzkich, niewolno dopatrywać się pojęć, wywołujących u wolnomyśliciela europejskiego uśmiech wzgardy na wszystkie działania „nadnaturalne.“ Do tego należy dodać, że znachorzy są jedynymi posiadaczami istniejącej w ich otoczeniu wiedzy medyczno-przyrodniczej, że umieją puszczać krew, spędzać płód ludzki, znają się na ziołach i przewiązywaniu ran, mają skuteczne środki przeciwko ukąszeniom żmij i owadów. Wszystko to sprawia, że cieszą się oni ogromnymi wpływami i że w wielu miejscowościach zdobywają władzę polityczną. U wielu np. szczepów murzyńskich samowładztwo królewskie bezpośrednio powstaje z mocy czarodziejskiej, zwłaszcza tam, gdzie ludność, wskutek uprawy roli, oczekuje od nich regulowania pogody. Zresztą nie trzeba tych wierzących przedstawiać sobie jako trzodę bezmyślnych owiec. Ludy barea i kunana (Abisynia) znoszą daninę i uprawiają pole t. z. „alfaiom,“ królom duchownym, mieszkającym na wyniosłej górze z swemi rodzinami; obowiązkiem ich sprowadzanie deszczów i odganianie szarańczy. Atoli jeśli którykolwiek z nich nie może zapobiedz tym klęskom, kamienują go i wybierają najbliższego krewnego. To samo natrafiamy wszędzie, gdzie znachor jest zaklinaczem zmian meteorologicznych; tymczasem kędykolwiek zajmuje się jedynie praktyką zaklinania chorób, nie podobnego nie oglądamy. Dowodzi to, że w tym razie zaklęcia są skuteczniejszemi.

Postać społeczna, którąśmy dotychczas rozpatrywali, stanowi osobę urzędownie (używamy to wyrażenie w braku lepszego) przyznaną przez plemię w działaniach i wpływach. Czynności jej są publiczne i już przez to samo tolerowane; polegają one u niższych ras na leczeniu współplemieńców i przeklinania wrogów, u wyższych — na sprowadzaniu nadto pożądanej pogody. Sprowadzanie choroby na swych plemieńców zaczyna ona dopiero, kiedy uspołecznienie klasowe już się wywiązuje i czarownik przywłaszcza sobie potęgę polityczną. Sama wiara w skuteczność znachora liczy się z dowodami jego wpływów, a ponieważ niepowodzenie w tej mierze jest najwidoczniejszem, kiedy ma do czynienia z rozkazywaniem pogodzie, więc u ludów rolniczych spotykamy uśmiercanie czarodzieja. Tymczasem póki zakres działania ogranicza się do zaklinania chorób, takiego powątpiewania nie znachodzimy. Znachor jest tu osobą, która i zaklęciami i znajomością niektórych środków leczniczych, wreszcie swemi postami i nastrojami psychicznymi wzbudza ku sobie zupełne zaufanie. Pamiętajmy, że nawet owi oszuści nowokaledońscy nie są zwykłymi śmiertelnikami; w każdem bowiem plemieniu znajduje się kilku takich „tagota,“ którzy od czasu do czasu, i to nie w chwilach zaklinania, wpadają w stan osłupienia i konwulsyj, a „wtedy wchodzą w stosunki z duszami zmarłych.“ Częstszym jednakże jest typ zdrowy, osłabiony jedynie postami i halucynacyami i, dzięki naukom starego pokolenia, otrzymujący pewne wiadomości lekarskie i skuteczniejsze metody zaklinania (wzbudzania wyobraźni). W dalszym ciągu, u ludów cywilizowanych, niektóre funkcye oraz zasada znachorstwa przechodzą w spadku na kapłanów, którzy wciąż jeszcze klęski ogólne i niektóre choroby uważają za dzieło duchów i zwłaszcza rozstroje nerwowo-psychiczne leczą zaklinaniem i egzorcyzmami; tymczasem wiedza przyrodniczo-medyczna dostaje się lekarzom, którzy stanowią drugą kategoryę, wyłonioną w rozwoju znachorstwa.

Po za tym czarodziejem publicznym wszędzie natrafiamy jeszcze na *tajnych*, powszechnie prześladowanych dla swej szkodliwości. Jak wiemy, człowiek pierwotny każdą klęskę przypisuje duchowi, a sprowadzanie jej — czarom wrogów. Jeżeli ci są po za plemieniem, zemsta jest bezsilną, ale kiedy są współrodakami, to biada takim czarownikom. Kiedy więc sam zachoruje, poszukuje sprawcy swej niemocy i z natury rzeczy zatrzymuje uwagę na nieprzyjaciołach osobistych. U bantu skoro ktokolwiek zasłabnie, wzywają znachora, a w razie bezskuteczności leków jego, zaczynają rozmyślać, ktoby mógł rzucić urok. Chory z pomocą znachora przypomina sobie wszystkie urazy, a jeśli wreszcie wybór padnie na kogoś, podejrzany zostaje wezwany przed „sąd boży“ i karany śmiercią, gdy rezultat wypadnie na jego niekorzyść. Praktykę taką oglądamy po przez Afrykę całą; przykłada się ona u m-pongwesów więcej, aniżeli wojny, do powstrzymania wzrostu ludności. Wszędzie znachor-czarodziej urzędowy ściga czarownika, w tajemnicy uprawiającego ten kunszt; jest to ten sam antagonizm, który w Europie złożył się na kontrast pomiędzy inkwizycyą a wiedźmą. Wyłągł się on z przeciwstawienia sobie dwu czynności: jednej, mającej na celu przez zaklinanie sprowadzić na współplemieńców zdrowie i powodzenie, a na wrogów plemiennych klęski, i drugiej, prywatnej, zaspakajającej zemstę osobistą wśród własnego szczepu. Zresztą prócz takiego czarownika prywatnego, o charakterze dorywczym, wiele ludów wierzy jeszcze w istnienie innych, z natury swej wytrwale i namiętnie działających na szkodę swego bliźniego (tj. współplemieńca). Bongosy (wschodni Sudan) wierzą w ludzi, zamieniających się nocą w hyeny, a dniem wracających do zwykłej postaci. Kolchowie przechowują podobny przesąd, z tą różnicą, że hyenę zastępuje tygrys. Tamtejsi znachorzy urzędowi („tokhasy“) zajmują się odpowiednio do wskazówek tłumu odszukaniem takich czarowników (zazwyczaj kobiet), a kiedy to im się uda, ludność morduje podejrzanych z całą rodziną. W Abisynii czarownice ssą w nocy krew ludzką. Nie potrzebujemy wskazywać, że źródłem tych wierzeń jest z jednej strony istnienie niepojętych dla umysłu pierwotnego, a powoli trawiących organizm chorób, a z drugiej często objawy chorób — jak je zowie Ribot — osobowości, połączonych z zachciankami krwiożerczemi.

I znachor-czarodziej i osoba, używająca czarów w celach zemsty, i czarownica-upiór, będąca w rzeczy samej dotkniętą halucynacyami osobowości (niemoc to częsta u ludów pierwotnych i masowo występująca pod postacią zarazy psychicznej), wszystkie te grupy zostały przez średniowieczne duchowieństwo zwalone w jedną kategoryę wiedźmy. Co więcej, zaliczono tu i zupełnie odmienne postacie, a przedewszystkiem te histeryczki, u których napady połączone były z maligną i które dzięki temu uchodziły za prorokinie (spotykamy je u chinwannów na w. Formozie, w pląsach dochodzą do zachwytu i konwulsyj, a ich słowom przypisuje się znaczenie proroctwa). Zaliczono tu i te kobiety, które w obłąkaniu erotycznem mniemają, że znajdują się w objęciach mężczyzny, tylko że ten wskutek swej niewidzialności uznany zostaje za ducha (zdaje się, występuje to epidemicznie u kolchosów). Jednem słowem, wiedźma europejska stanowi kategoryę złożoną i w takiej niejednolitej formie właściwą jedynie Europie, a powstałą z pomięszania przez kościół rozmaitych grup pogańskiego czarodziejstwa, opętania i wróżbiarstwa. Więc zna się ona na ziołach, leczy skutecznie, jest nieprzyjaciołką rodu ludzkiego, sprowadza burze i susze, niepłodność kobiet i bydła, choroby i zarazy, znajduje się w stosunkach płciowych z nieczystymi duchami, lata na sabbat, zmienia się w kota. Tak przedstawiała ją inkwizycya. Lecz czemże była owa wiedźma sama w sobie? Jeszcze niedawno uważano ją za ofiarę fanatyzmu i ciemnoty, chwila dzisiejsza dorzuciła nowe światło. Z jednej strony była ona, o ile mieściła w sobie wiadomości lekarskie, jedyną naówczas pomocą dla chorych z gminu; częściej jeszcze to była obłąkana histeryczka. Pamiętajmy, że zdaniem samej inkwizycyi, największy procent stanowiły tu kobiety, „w życiu których zdarzyła się jakaś ciężka próba,“ że „muzyka działała na nie z siłą znaczną,“ że „na torturach kłuto często ciało całe w zamiarze znalezienia czułego miejsca“ (nieczułość taka znamionuje anestezyą), a wobec tego musimy się zgodzić, że mamy tu do czynienia nie z czarownicą, lecz chorą. Również w taki sposób tłomaczy się samoprzeświadczenie wiedźmy o lataniu na sabbat i stosunkach płciowych z duchami. Nie winniśmy bowiem zapominać, że pierwsze masowe pojawianie się takich opętanie przypada na czasy bezpośrednio następujące po wojnach krzyżowych. Epokę tę Buckle charakteryzuje jako odznaczającą się chorobliwym nierządem u kobiet — z powodu, że rzeczone wyprawy ogołociły Europę z mężczyzn i uniemożebniły normalne zaspakajanie jednego z najpotężniejszych popędów fizyologicznych. Przypuszczenie to co do takich wpływów potwierdza się i przez ten fakt, że z pośród mężczyzn o stosunki z dyablicami najczęściej bywali oskarżani, a raczej sami się oskarżali księża. Bodin opowiada o jednym, który został spalony za czterdziestoletnie, a drugi — za pięćdziesięcioletnie takie obcowanie! Niezaspakajanie odnośnych popędów zrodziło halucynacye złączone z bezwiednym samogwałtem — oto prawdopodobnie całe wyjaśnienie. W ten sposób duchowieństwo średniowieczne wypowiedziało walkę na pół ludziom ciemnym, czasami szkodliwym, częściej jeszcze pożytecznym wobec małego rozwoju medycyny, na pół chorym, obłąkanym i histerykom. Trudno tu przypuszczać masowe oszustwo ze strony prześladowanych, gdyż gdzie wielka kara czeka za mało korzystne materyalnie kłamstwo, tam obełgiwanie jest rzadkiem i to jako dodatek do postępków z szczerego przekonania. Wieki ówczesne wysyłały wiedźmy na stos, obecne stulecie mieściłoby je najczęściej w szpitalu. Walka ta jednak była koniecznym wypływem istniejących wtedy poglądów

i w tym swym przebiegu stanowi jedną kartkę z dziejów walki pomiędzy prywatnymi tajnymi znachorami a znachorstwem-szamańszczyzną publiczną, jakąśmy widzieli u plemion bantu.

Skreśliwszy, czem była wiedźma europejska, przyjrzymy się epidemicznej halucynacyi czarownictwa średniowiecznego.

Lud. Krzyw.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Gołubowicz Ks. Józef. *Bułgarya, jej przeszłość dziejowa, jej obecne narodowe i religijne odrodzenie.* Kraków, 1885.

Mimo nader klerykalnego stanowiska autora, widzącego w misyach Zmartwychwstańców odrodzenie narodowe bułgarów, pracy jego przyznajemy niezwykłe zalety popularyzacyjne, widniejące w zwięzłem i treściwem przedstawieniu stosunków dziejowych, etnograficznych, szkolnych i religijnych tego pełnego żywotności narodu, który powstawszy ze zlania się słowian z przybyszami turańskimi, w VII już stuleciu mężnie stawiał czoło potężnemu ongi Bizancyum. Za panowania Borysa czyli Bogorysa (844—888 r.) bułgarowie acz ochrzczeni według obrządku wschodniego, obawiając się atoli panowania bizantynów, za pośrednictwem cesarza niemieckiego Ludwika przyjęli obrządek łaciński (866 r.), w którym zaledwie wytrwali do roku 870. Syn Borysa — Symeon, przywrócił unię z Rzymem i uroczyście z polecenia papieża na króla koronowany. W skład państwa bułgarskiego wchodziły naówczas: Wołoszczyzna, Siedmiogród, Banat, część Serbii po Drinę, Epir, Macedonia, Tracya i Tessalia. Stolicą Bułgaryi był naówczas Presław (dziś prawie wioska Eski Stambuł, na południu Szumli). Po śmierci Symeona, syn jego Piotr, ożeniwszy się z Ireną, wnuczką cesarza bizantyńskiego Romana Lekapena, zerwał stosunki z Rzymem, odnawiając pierwotną cerkiew wschodnią. Za Zemiscesa (971 r.) bułgarowie berłu bizantyńskiemu ulegali i chociaż po śmierci cesarza odzyskali niezawisłość, jednak przez Bazylego, zwanego „bułgarobójcą,“ znowu ujarzmieni. W 1185 r. przy pomocy połowców wybili się na wolność, a niejaki Hasan (Asen) stał się głową nowej dynastyi. Potomkowie tego Hasana: Joanicyusz (Kalo-Jani) i Boryl, pokusili się jeszcze raz o krótkotrwałą unię z kościołem łacińskim. W r. 1218 Jan Hasan II za sprzyjanie patarenom czyli bogomilom, odrzucającym wiele dogmatów kościelnych, naraził się papieżowi Grzegorzowi IX, który ogłosił krucyatę przeciwko „heretykom bułgarom.“ W XIV w. nastąpiło wyswobodzenie się kościoła bułgarskiego i serbskiego z pod patryarchatu konstantynopolitańskiego. Turcy, zająwszy Adryanopol, Eski Zagrę i Płowdiw (Filipopol), po krótkiem oblężeniu nowej stolicy Tyrnowy, koniec państwu bułgarskiemu położyli, lubo jeszcze Konstantynopol był w ręku bizantynów. Dzicy zdobywcy przywykli uważać w zwyciężonym niewolnika, ciemiężyli i trapili nieszczęśliwych bułgarów. Duchowieństwo narodowości greckiej utrzymywało lud w ciemnocie, nakładając dowolne podatki. Nienawidzący słowian niszczyli grecy nietylko zabytki piśmiennictwa starobułgarskiego, ale nawet obrazy z napisami słowiańskimi i naczynia cerkiewne. W cerkwi i szkole język grecki panował. Do pisma bułgarskiego używano tylko liter greckich.

Od odzyskania niepodległości w ostatnich czasach, naród ten postępuje szybko. W roku 1878 powiecie kisztendzilskim na 50,000 mieszkańców liczono tylko trzy szkoły świeckie i pięć duchownych, w 1880 było już 24, a w 1881 r. 31 szkółek. Wogóle od r. 1879 do 1881 przybyło w księstwie bułgarskiem 276 nowych podobnego radzaju zakładów.

Bułgar z przyrody cichy i pracowity, nie chlubi się bynajmniej bohaterskiemi przodków dziełami, lecz obyczajem prastarym zajmuje się uprawą ziemi, rzemiosłami i handlem. Stosunki rodowe, będące cechą dawnych urządzeń słowiańskich, zachowały się jeszcze w pierwotnej staroświeccczyźnie. Gospody, zwane *hanami*, utrzymywane są przez bułgarów, a niekiedy greków i cyganów, których lud nazywa *handżami* (gospodarzami). Do ujemności bułgarów zalicza autor zabobonność, zdaje się, że przeistoczoną nieco pod wpływem zwyczajów greckich i rumuńskich.

Wogóle powiedzieć można, że książkę. ozdobioną mapami i 34 rycinami, czyta się z zajęciem, podniecającem ciekawość czytelnika średnio wykształconego.

Justyn Feliks Gajsler.

W. Gomulicki: *Poezye*, Warszawa, nakładem księgarni W. Gruszeckiego.

Jak botanik, napotkawszy nieznaną roślinę, wzywa na pomoc klasyfikatora i zaliczywszy ją do odpowiedniej grupy, kładzie we właściwej przegrodzie swego zielnika, tak dzisiejsza krytyka, gdy jej poeta rzuci garść rymów, wnet ogląda go na wszystkie strony i pyta: romantyk czy realista? i gwałtem więzi w odnośnym pawilonie literatury. Złapany protestuje, zaklina się, iż żadnemu z panujących bogów nie składa pokłonów, że nie myślał obrażać żadnej szkoły — niema rady! — idzie do wspólnego dołu, jak ów ranny żołnierz, którego błagania i krzyki, że jest żywym, nie pomogły wobec rozkazu ryczałtowego grzebania.

Nie chcę stosować klasyfikacyi do pisarza, którego utwory leżą przedemną, pozbierane z pism codziennych i tygodniowych i ujęte w sporą książkę. Wiem, że możnaby w *Strofach* Gomulickiego wyśledzić i wpływ Musseta i Heinego, wiem, że sekciarz trzeźwości z rozkoszą odnalazłby tam echa najprawdziwszego życia codziennego, obrazy drgającej gorącem tętnem rzeczywistości, i uczucia, które żywi w swem sercu nie fantazyjny marzyciel, lecz prozaiczny filantrop — ale mi o sztandar estetyczny nie chodzi. Bohater mój jest przedewszystkiem poetą, szczerym, prawdziwym — na cóż się zdały inne legitymacye?

W naszych bowiem czasach, więcej niż kiedyindziej, rozplenił się ród wieszczów — rymorobów, którzy padli jak chmura szarańczy na piśmiennictwo z tą fatalną dla ogółu różnicą, że zamiast pożerać, chcą sobą karmić i za ciężcy do strawienia, wywołują mdłości... Pomiędzy kilkoma, co stoją zdala od tej gromady, nie przesłaniając, ale owszem, zbliżając ku ziemi blaski słoneczne — wybitne miejsce zajmuje Gomulicki. Pojmuje on posłannictwo kochanka muz poważnie i nie uchybia tradycyi, stworzonej przez wielką plejadę autorów polskich. „Poezya — jak Bóg — jedna jest i jednakowa; w niej wszystkich dzieł potężnych kiełkują przyczyny; i próżnobyś przepaścią dzielił czyn od słowa, bo w czynach tkwi poezya, a w poezyi — czyny!“

Z takiem godłem wypuszczone na świat płody ducha powinny mieć piętno natchnienia i... mają je.

W cyklu poematów większych i mniejszych, podanych przeważnie w formie lirycznej, treści jest bardzo wiele i lubownik wytwornych wierszy może się nimi uraczyć do syta. Idąca przodem „Pieśń w służbie świata“ uwydatnia w pocie osobistość wysoce humanitarną, człowieka o charakterze wrażliwym i czułym na nędzę tego padołu, pisarza, który potrafi używać szczęścia i zaleca je innym, ale żąda przedewszystkiem, żeby głodnych pośród nas nie było. W przepysznym trójwierszu p. t.: „Głodnego nakarmić,“ widzi on i podziwia majestat pogodnej natury, korząc się przed urokami, jakie ona na głowy śmiertelnych zsypuje, ale rozumie, że całe to arcydzieło pokrywa się ponurym mrokiem i zamiast zapełniać zachwytem, przeszywa boleścią — jeśli jego harmonię psuje choćby tylko jeden nędzarz, zazdroszczący ptakom i drzewom pokarmu.

Do tego samego rodzaju skarg na powszednie rozdźwięki życia należy wiersz: „Z niskich lotów,“ w którym silnemi barwami odmalowaną została niszcząca potęga biedy i „Bez echa,“ gdzie ze szlachetną ironią autor opisuje w krótkich słowach doktrynerskie rozprawy nad nędzą, poważne spory uczonych, śmieszne swą jałowością i nieprzeszkadzające bynajmniej pustce w żołądku „uśmiercić nędzarza.“ „Na zgliszczach“ poświęcone ofiarom pożaru w Grodnie — znają chyba wszyscy — a jeśli nie, niechaj poznają, żeby przekonać się, do jakich wyżyn twórczości wznieść może poetę wielkie, głębokie współczucie. Niemoc ludzka wobec klęski, zdziałanej przez ślepe żywioły, konwulsyjne rwanie się do dzieła pociechy i ratunku, rzadko kiedy wylewają się na zewnątrz takim pełnym, niosącym ulgę potokiem łzawych słów.

Smutek nawiedza naszego poetę dosyć często i znajduje wyraz w wielu innych jeszcze utworach. Zbiorek opatrzony ogólnym nagłówkiem „Słońce za chmurą,“ to prawowita dziatwa melancholii i współczesnego pesymizmu. Słyszymy tam znane, chociaż w inny pochwycone układ, tony: żal, że życie jest tak krótkiem i sterawszy człowieka walką z przeciwnościami losu, przepaliwszy go w ogniu burz i namiętności — daje mu równowagę i doświadczenie wtedy, gdy już blade widmo śmierci się zakrada. „Rozmyślania o północnej godzinie,“ przypominające nastrojem „Noce“ Musseta, w których ten muzie swej otwierał duszę zbolałą, zachęcają do zrzeczenia się bezowocnych z nieszczęściem zapasów i oddania się na wolę wichrów życiowych. Gdzieindziej („Myśleć to cierpieć“) poeta przeklina czujność pracy mózgowej, której niczem uśpić niepodobna; dalej znowu („Po dniu czarnym“) zazdrości ziołom na łące, martwej bryle kamienia, że mogą spokojnie oczekiwać wiosny i słońca, a on, „król stworzenia,“ „nic nie widzi na tle nieba dalekiem.“ W „Gorączce życia“ przemawia *weltschmertz* wierzący w rozkosz, lecz ogołocony z wiary w szczęście; w „Piołunach“ duch zrospaczony bezsilnością modłów, błaga Boga o śmierć; to znowu ostrzega wędrowca ziemskiego, że największe zasoby chleba, siły, wytrwałości i geniuszu nie ocalą go od niedoli, która jest metą wszystkiego i przepaścią, co go pochłonie prędzej czy później.

Jednak ten upadek męztwa w boju życiowym nie trwa długo; zwątpienie zasadnicze, filozoficzne rychło znika, a przynajmniej słabnie i nie obezwładnia poety. Ostatecznie nie chce on ani może pogodzić się z panowaniem zła i „tytanowy protest Bogu śle.“ Jest to więc już przejście ze stanu pognębienia w stan podniecenia, czynu, oporu. Nie chcę przez to powiedzieć, że w takim a nie innym porządku chronologicznym odbywała się wewnętrzna praca myśli poety, lecz pragnę jedynie wskazać, jakie usposobienie przeważa w poezyach Gomulickiego, czyli określić je ze stanowiska zasady szczęśliwości, która dzisiaj stanowi probierz nieodzowny i prawie wszechwładny. Otóż, jak powiadam, pesymizm beznadziejny nie gości tam zbyt długo i prędko z ulotnych rymów, w których go zawarto, wyparowywa.

Są tam jeszcze wprawdzie ułamki, nacechowane smutkiem i sceptycyzmem, ale już wolne od znaczenia podmiotowego. Znamionują one raczej cierpienie przyjaciela ludzkości na widok pojedynczych, rozsianych

po naszej planecie dramatów i tragedyj, i kojarzą się bardzo często ze swawolnym humorem, który wybornie potęguje i uwydatnia rzewny ich charakter. W obrazku „Francuzica“ widzimy wcielenie samotności, połączonej z komizmem staropanieńskich nawyknień i przesadzonej skromności, śmierć na obczyźnie, oraz nędzny pogrzeb biednej nauczycielki, na którym poeta zdjęty żałością, zastępował zmarłej i ojczyznę daleką, i trzpiotowate dzieci, w imieniu ziemi gościnnej, co jej dała przytułek. „Pogrzeb aktora“ — to obrazek tworzący z poprzednim dobraną parę. „Ständchen“ opiewa losy dwojga kochanków, gdzie „on“ rozstawszy się z lubą, by pogonić za groszem, potrzebnym dla usłania przyszłego gniazdka, ginie zdala od niej. Jakkolwiek urozmaicony wypukłymi wizerunkami scen salonowych i świetnym wierszem — poemat „Na balu,“ razi nadmiarem deklamacyi i pomysłem zanadto już zużytym i wielokrotnie wyzyskanym. Teraz już i podlotki umieją na pamięć opowieści o matce unoszonej wirem tańca w chwili, konania jej dziecka.

Po za tym szeregiem mniej lub więcej posępnych rysunków i wynurzeń — lira Gomulickiego już więcej nie płacze. Lubi on przebywać w krainie spokojnej, umiarkowanej rozkoszy i płaci jej sowity haracz kilkoma nader udatnemi pieścidełkami, zapełniającemi rozdział „Amora i Psychy.“ Oklepany temat miłości ma w Gomulickim rzecznika bardzo umiejętnego i pod piórem jego traci niemiły zapach stęchlizny, a natomtast skrzy się całym swym ogniem i nęci czytelnika nieporównaną świeżością. Przebiegając te pyszne zestawienia hożej dzieweczki ze zrudziałymi pergaminami starych foliałów w gabinecie literata, śliczne przywitanie kochanki w letni poranek, ujęty w niewypowiedzianie jasny, świetlany obrazek, czarowny, jak grządka kwiatów wiosennych i jak ona wonny! — czujesz, że to mówi organizacya jędrna i żywotna, która *ma prawo* śpiewać o miłości. We wszystkich tych cackach erotycznych wre życie całą pełnią, wieje z nich urok młodości, tak odmienny od chorobliwych wysiłków amora francuskiego. To nie fałszywe kwilenie wymokłych gołąbków dziennikarskich, co wychowane w afektach do mamki — daremnie zmuszają zachrypłe gardziołka do gruchania. Uczucie, które poeta („Gdy kochać,“ „Musisz kochać“) świadomie pragnie widzieć potężnem i którego moc, przetrawiającą ciało, wyobraża „Wniebowzięta,“ dziwny zaiste przedstawia kontrast z deklamacyami i frazeologią trubadurów współczesnych, naładowanych merkuryuszem, jak barometry, wedle wyrażenia Heinego.

Wszystkie bohaterki, którym przypadły w udziale hołdy poety, są to dziewoje nawskroś polskie, rzekłbyś, modelowane na powabnej *Pana Tadeusza* bogdance. Posiadają one wdzięk naturalny, prostotę i „wieczną kobiecość,“ którym nie potrzeba sztucznego oświetlenia. Taką jest „Kocia,“ bohaterka większej nieco opowieści rymowanej, pełnej werwy i dowcipu, a przytem żywcem wykradzionej światu rzeczywistemu. Taką jest nawet mężatka, pani prezesowa, dzięki starości pana prezesa mało zeszta mająca wspólnego z ogółem żon, a bezwiednie odbijająca Koci amanta. Narzędziem zbrodni, która ostatecznie spełzła na zamachu dzięki nieprzewidzianej interwencyi czcigodnego małżonka — są zaloty, dyszące takim żarem natury rwącej się do pieszczot, że go nawet komiczne zachowanie się nieśmiałego Adonisa nie zdołało ośmieszyć i odrzeć tej Putyfarowej z — *Sit venia verbo* — apetyczności.

Nadmienić wypada, że Gomulicki dobiera dla swych obrazków erotycznych tło sielankowe, umajone kwieciem ogrodów i łąk, otoczenie natury leśnej („W górach“) lub wreszcie wspaniały krajobraz oceanu, jak w tęsknym wierszu: „Nad brzegiem morza i nieskończoności.“ Bo wiedzieć należy, że pisarz ten posiada dar niesłychany pojmowania tajemiczego rozhoworu pól i borów. Jest to temperament zdrowy i łakomy wrażeń, pokrzepiających i sprzyjających równowadze ducha i ciała. Zespolona z przyrodą, z której czerpie życiodawcze soki, poczya Gomulickiego ma wzrok czuły na niewidzialną grę świateł i ucho nadsłuchujące szmerów i szeptów, w których rozróżnia śpiewy i skargi, śmiechy i szlochania, wydające się profanowi zwykłym, małoznacznym szumem liści. Dusza jego boleje na widok knieci, przerzedzonej siekierą handlarza, i w imię powalonych dębów-olbrzymów, spłoszonych drzew mieszkańców i pomiętych wrzosów rozbrzmiewa szeroką, jak płacz narodu, elegią („Pod toporem“); cieszy się ona z nadejścia wiosny, w mroczną wpada zadumę pod wpływem pustoszących wichrów i chłodów jesieni, z lenistwem południowca poddaje się spiece dnia lipcowego, wzdryga się na myśl o zimie, która „robi z pól cmentarze“ i „z nędzą chodzi w parze.“ Cykl „Z księgi przyrody“ dowodzi, że poeta świadomie kult natury wyznaje i żałuje, iż ona macoszem swem dla ludzi okrucieństwem oziębiła ich przywiązanie („Fragment“), a wiązanka sonetów: „Sub tegmina,“ oraz wiersz „Mają oczy — nie widzą,“ są doskonałym wyrazem owego panteizmu, który jest źródłem wzruszeń estetycznych, najtrwalszych i najsilniejszych, który przytomność i trzeźwość odebrał wyobraźni Rousseau'a, oszałamiał romantyków, upajał po wszystkie czasy wielkich natury piewców. Szkoda tylko, że wstęp do tego uroczystego mszału:

> Książki, obrazy, koncerta, dzienniki
> Ością mi w gardle stanęły i chlebie
> I zapomalawszy o fantazyi niebie
> Żyć umyśliłem jako człowiek dzik!,

nieco przypomina inny, napisany przez Heinego.

Z przytoczonych tutaj utworów można przekonać się, iż Gomulicki jest poetą nastroju bardziej dodatniego, niż przeczącego i że zamiast zacieśniać ramy życia, woli je rozpierać i uzupełniać, zbogacać w treść, zamiast ubożyć nieczynnością i apatyą. Charakterystycznem jest, że oznaki bierności wewnętrznej i nieczułości budzą w nim smutek, i woli on twarz, zroszoną łzami od czasu do czasu, niż nieruchomą i zakrzepłą, jak zmartwiała krew („Znalem jedną“). Za swoją truminą pragnie on mieć raczej rożwonie, niż dym kadzidła, „blaski skrzących oczu“ przekłada „nad gromnic światło“

> a śmiech dziecięcy, przeczysty jak dyament
> nad głupich płaczków zapłacony lament.

To samo opiewa i reszta perełek, które autor poświęca „Innym i sobie.“ Filozofia życia dobitnie i ponętnie wypowiedzianą została w „Przeżytym“ i „Radzie.“

Nie wspominam wielu jeszcze utworów przygodnych, wybornie odzwierciedlających owe liryczne chwile w życiu człowieka, w których nawałnicą uczuć wezbrane serce toruje sobie ujście zwierzeniem lub dumką. W podobne obrazy obfituje „Życie w obrazach,“ w przeważnej części złożone z sonetów. Jak gdyby z pod włoskiego nieba przeszczepione, misterne zwrotki o dzieciach, co po całodziennej pogoni za chlebem, na który zarabiają śpiewem, usnęły pod ścianą pałacu osamotnionego grafa — zalecają się nadzwyczajną zręcznością układu. Rysem znamiennym tych szkiców z powszedniego bytu jest lekkość i realistyczny niekiedy zakrój; są to najczęściej obrazki rodzajowe, do których wątku dostarcza życie wielkomiejskie i typy warszawskie („Na kanonii, Warszawianka“). „Nastka“ to córka stróżowska z „wyższemi“ pragnieniami; „Syn obywatelski“ no, to syn obywatelski, czyli indywiduum, co z wyżyn milionowego dziedzictwa stoczyło się na poziom pieczeniarza — błazna. Do tegoż szeregu należą „Ostatki“ opowiadające o ruinie rozmaitych darów: talentu, wiary, sumienia, fortuny itp., „Nazbyt lubił“ i kilka innych.

Oczywiście większość wspomnianych utworów cechuje błahość pomysłu, i po za lotnem wrażeniem, nie zostawiają one nic stalszego; ale błędem grubym byłoby mniemać, że Gomulicki nie wspina się wyżej i zamiast dreptać po nizinach Olimpu kapryśnym biegiem, nie wylatuje twórczością na jego szczyty. Umie on ogarniać i szersze widnokręgi i dłużej zatrzymywać się nad wielkimi tematami sztuki, dziejów i teraźniejszości. Pełne wzniosłego polotu apostrofy do Szekspira, Siemiradzkiego i Matejki, są tego wymownym dowodem, jakkolwiek druga z nich niezupełnie się autorowi udała i pomimo świetnych kolorów, słabe robi wrażenie. Trzecia chociaż krótsza jest mojem zdaniem lepszą. Wreszcie niepodobna mi pominąć milczeniem dwóch poematów znaczniejszej miary: „El mole rachmim“ i „Żydów.“ Ten ostatni jest jedynym, podanym w szacie bardziej scenicznej. Gdyby kto chciał Gomulickiemu zarzucać obojętność na wielkie rany ludzkości, i upodobanie do drobiazgów poetyckich, wobec tych dwóch miniaturowych arcydzieł musiałby przedwczesny sąd swój odwołać... Wiem, że niedźwiedzią wyświadczam przysługę poecie, sławiąc semickie dźwięki jego lutni; wiem że zamiast podnosić w oczach ogółu, ściągam go w dół, ale niestety prawda, lepsza od Platona przyjaciółka, do tego upoważnia. W obu utworach Gomulicki zapisał się do wielkiego pocztu wieszczów polskich, których tak trafnie Brandes scharakteryzował godłem apostolstwa. Tam słowa jego huczą protestem gromowym przeciw odwiecznej ludów nienawiści a duch, zajrzawszy w zbrukane cielca złotego ciele serce żyda, zapłakał szczerze nad marną Izraela dolą. Myśliciel, historyozof i poeta połączyli się bratnim węzłem i dowiedli, że niwa, piołunem siana, nie może „okryć się kwieciem lilii.“ Doprawdy, co warte są grube tomy rozpraw nad „kwestyą żydowską“ wobec tych, łzami ociekających rymów, wobec tego potężnego tchnienia humanizmu, ogarniającego rozsiane po całem globie i sponiewierane szczątki ludu wybranego?

Dziwnem zrządzeniem losu największym pisarzom polskim żydzi zawdzięczają najgoretsze obrony. Jankiel cymbalista i Meir Ezofowicz a teraz znowu orszak ślubny z „El mole rachmim“; aniołowie-stróże literatury gotowi zatrwożyć się o jej przyszłość.

Wiersz Gomulickiego znanym jest każdemu. Celuje on wykwintnością słowa, barwnym doborem wyrażeń i zupełnem panowaniem nad rymami, które zawsze są naturalne i nie psują w niczem muzykalnej harmonii języka. Żałować tylko wypada, że uwaga, rozstrzelona na drobne po pismach codziennych, niby błędne ogniki nad bagniskiem krążące odłamki, niedostatecznie kontroluje stosowanie efektów poetyckich. W skutek tego czytane jeden po drugim rażą one czasem jednostajnością i częstem powtarzaniem się. Nie szperając w książce, mógłbym przytoczyć z pamięci sześć miejsc ożywionych „zgrzytaniem zębów“ (str. 24, 31, 35, 107, 254, 257 itd.). Kilkakrotnie użyty choć nieco naciągany rym: święte płomię..... wystrzela widomie,“ przyczem zazwyczaj owo „widomie“ jest widocznie niepotrzebnem; dwa razy znajduję niezupełnie poprawny symbol żałoby: liść z pieczęcią czarną („Jesienią“ i „Ständchen“).

Naturalnie drobne te usterki zniknęłyby w dziele większych rozmiarów, skupiającem bardziej uwagę autora. Dlaczego jednak dotąd lubuje się Gomulicki prawie wyłącznie w małych klejnotach — nie pojmuję.

Cezary Jellenta.

KARTKI ESTETYCZNE.

IX. Sztuka i... sztuczka.

Poczciwy dziadzio Symplicyusz!..

Przypomniał on się w tych dniach żywo mojej pamięci.

— A ja wam powiadam — tak zawsze mawiał, przytupując zlekka lewą nogą, w której miał reumatyzm — że od czasu owej *Magdaleny pokutującej*, nic równie pięknego nie wymalowano.

— Ależ, kochany dziadziu! — wykrzykiwaliśmy — racz przypomnieć sobie, że przez trzydzieści lat, które nas od „Magdaleny“ przedzielają, pojawiły się w kraju arcydzieła Simmlera, Matejki, Brandta, Siemiradzkiego.¡Wszakże oglądałeś, dziadziu, „Śmierć Barbary,“ „Kazanie Skargi,“ „Stańczyka,“ „Jarmark w Bałcie,“ „Świeczniki chrześciaństwa“...

— To i cóż, że oglądałem? Pracowicie wszystko to odrobione, ani słowa. Znać wszędzie pędzel sumienny, robotę, że tak powiem „na urząd“ — ale cóż z tego, kiedy żadne z tych malowideł nie sprawia złudzenia!..

I nie zważając na nasze ironiczne nieco uśmiechy, przymykał oczy i prawił jakby w zachwycie:

— Pamiętam, było to w roku 1850, czy też 51-ym. Powiada do mnie Kajetan— mój siostrzeniec, a wasz stryj — na Nalewkach pokazują „cudo.“ Jakie cudo? Malowane — powiada. Iiii! — mówię na to i ręką machnąłem. Ale on koniecznie: musisz wuj pójść; musisz wuj zobaczyć; cała Warszawa tam leci. Więc poszedłem. W bardzo porządnej budzie owo malowidło pokazywano. Zapłaciwszy, weszliśmy. Ludzi jak mrowia. Przetarłem okulary — patrzę — obrazu żadnego, ani na lekarstwo. Gdzie obraz? — pytam Kajetana. A on mnie kułakiem w bok i szepcze: Patrz wuj na prawo, gdzie czerwone firanki. Jedną razą, jak spojrzę, jak oczy wytrzeszczę, jak usta rozdziawię — zgłupiałem! Co mi prawisz o jakimś obrazie? — mówię do Kajetana po cichu, a od wielkiego wzruszenia aż się trzęsę. Toć-że to nie obraz, ale żywa kobieta... A on w śmiech; i inni, co to usłyszeli, też się śmiali...

Po małej przerwie dziadzio Symplicyusz otwierał oczy i ciągnął sentencyonalnie:

— Takie malowanie, to rozumiem. Aż się chciało palcem dotknąć dla spróbowania, czy to ciało, czy płótno. Jeden fryzyer, co stał przy mnie, przysięgał, że włosy są niezawodnie prawdziwe i do obrazu przyklejone zostały mastyksem. Ja sam, jakem się długo wpatrywał, przeląkłem się, bo mi się zdawało, że „Magdalena“ na mnie mruga....

— Widać nie bardzo o pokucie myślała!.. wtrącił któryś z nas złośliwie.

Dziadek tego nie słyszał.

— Od tego czasu — kończył ze smutkiem, szybciej nogą przytupując — nie zdarzyło mi się widzieć nic równie *naturalnie* malowanego!

Jaka szkoda, że dziadzio Symplicyusz już od lat kilku zamknął oczy na zawsze...

Gdyby mógł otworzyć je i zobaczyć pokazywane obecnie w Warszawie „przy efektownem oświetleniu“ *Rozkoszne marzenia* przez Suchorowskiego, pozbyłby się swego sceptycyzmu z pewnością.

Los nie pozwolił mi nasycić oczu „Magdaleną pokutującą,“ wystawioną przed trzydziestu laty w bardzo porządnej budzie na Nalewkach, ani wątpię wszakże, iż niepokutująca Magdalena pana S. godną jest co najmniej stanąć z nią na równi.

I do tej Magdaleny, podobnie jak do tamtej, „leci“ cała Warszawa; i ta, podobnie jak tamta, „wygląda jak żywa“; i o tej wreszcie, podobnie jak o tamtej, tłoczący się mieszczanie powtarzają z zachwytem:

— Ach! jakiż to wszystko — *naturalne*!

Powtarzają też oni wiele innych uwag, bardzo znamiennych i pouczających nietylko estetyka, ale i moralistę — wypisywać ich tu wszakże nie można.

Można natomiast zauważyć, w jak szczególny sposób tłomaczy sobie tłum (a obraz pana S. jest wyłącznie dla tłumu malowany) pojęcie „naturalności.“

Przedstawcie mu naturalnie odtworzony wyraz uczucia lub myśli; pokażcie mu naturalnie smutny lub naturalnie wesoły krajobraz; zaprowadźcie go przed grupę kamienną, która wyraża naturalnie estetyczną harmonię kształtów ludzkich — a wobec tych wszystkich arcydzieł prawdziwej sztuki pozostanie obojętnym.

Za to, naturalnie odmalowana brodawka na nosie, albo koszula na nagiem ciele kobiety, zawsze i wszędzie w zachwyt go wprowadzi.

Ludzie, nawet bardzo porządni (w nowych cylindrach i paltotach z wielkimi, bobrowymi kołnierzami) tłoczą się przy malowidle zatytułowanem „Rozkoszne marzenia,“ i, to szeptem, to półgłośnymi okrzykami, to wreszcie westchnieniem znaczącem, objawiają swą estetyczną (?!) ekstazę...

Czy można się temu dziwić?

Bynajmniej.

Ogłoście w dziennikach i przez sążniowe afisze, że tu i tu, w godzinach wieczornych, „przy efektownem oświetleniu“ oglądać można... alkowę przystojnej kokoty wraz z nią samą, przybraną w gruby negliż — a niezawodnie zgromadzicie tam tłumy.

Otóż i pan S. urządził dla swej niepokutującej Magdaleny — alkowę.

Zgromadził on w swej sztucznej zagrodzie tak wiele efektów optycznych, których suma wydaje pożądane złudzenie, iż do składowych części jego dzieła z równą słusznością zaliczyć można robotę malarską jak... lampę ukrytą w fałdach prawdziwej draperyi, oraz poręcz, niedozwalającą widzowi zbliżać się do malowidła bardziej, niż tego potrzebuje artysta.

Ten, kto nazywa „Rozkoszne marzenia“ dziełem realistycznem i pragnie tym sposobem postawić pana Suchorowskiego obok wielkich realistów francuskich, takich jak Courbet, Manet i inni, jest w błędzie. Jego robota jest po prostu robotą dekoracyjną; jego zaś miejsce obok nieznanego mi z nazwiska twórcy owej „Magdaleny pokutującej,“ o której dziadzio Symplicyusz nie mógł do końca życia zapomnieć.

Rzecz dziwna! Ciż sami ludzie. którzy z otwartemi ustami, rozszerzonym wzrokiem i... wyciągniętemi uszami, podziwiają sztuczkę p. Suchorowskiego, uważając ją za coś wyjątkowego, patrzą co wieczór niemal w salach teatralnych na równie *naturalne*: morza, skały, ogrody, „okolice leśne,“ wschody i zachody księżyca itp., a jednak ani w głowie im postanie okrzykiwać panów: Guranowskiego, Malinowskiego i innych dekoratorów naszych — genialnymi realistami...

Tymczasem twórca „Rozkosznych marzeń“ nie wzniósł się na cal jeden ponad tych skromnych pracowników pędzla i klejowej farby. Jego malowidło to takiż sam efekt optyczny, nie znoszący dziennego światła i bliskiego punktu widzenia, jak naprzykład płócienna Wenecya w „Giocondzie“ lub widok na Tatry w „Halce.“

Jednakże — *suum cuique*.

I w tym figlu dekoracyjnym, z prawdziwą sztuką niewiele mającym łączności, znać zdolnego i umiejącego malować artystę.

Rysunek leżącej na kanapce kobiety jest dobry — a jeżeli twarzy dałoby się zarzucić, że jest za wielka i za szeroka, a ramionom, iż są rozwinięte zbyt silnie w stosunku do nóg, kościstych i niedość pełnych, braki te mogą wypływać po prostu z wybrania takiego a nie innego modelu.

I wyraz twarzy, zmysłowy i pół dziki, dobrze odpowiada założeniu artysty, który przez „rozkoszne marzenia“ nie rozumiał bynajmniej rojeń o kwiatach i aniołach.

Jego bohaterka jest najpospolitszą w świecie kokotą. Gminne jej rysy wskazują, że wyszła z nizin społecznych; twarz dojrzałej kobiety poucza, że już powielekroć „rozkosznie marzyła.“ Nawet wierzyć się nie chce w jej namiętność...

Koloryt obrazu, który musiał być rozmyślnie fałszywym, nie we wszystkich częściach dostroił się do zupełnego efektu.

Żywą jest tylko twarz, ze swemi błyszczącemi, głęboko osadzonemi oczyma i typowem skrzywieniem, rozszerzającem policzki i żłobiącem w nich zmysłowe bruzdy. Ramiona i ręce, jakkolwiek tkwią pozornie w powietrzu i mają wyrazistość rzeczy bryłowatej, wyglądają jak ulepione z wosku. Nogi znowu, nie zrównoważone w karnacyi z górną połową postaci, są poprostu — trupie...

Prawdziwością gobelinu rozwieszonego nad kanapką (mówiąc nawiasem, krótka ta i niewygodna kanapka nie zdaje się być w zgodzie ze sztucznie swobodną pozycyą leżącej) oraz rozpostartego na niej dywanu możnaby się zachwycać, gdyby... gdyby nie wspomnienie chociażby owej teatralnej Wenecyi w „Giocondzie,“ w której prawdziwość wody, odbijającej światła okien, była jeszcze bardziej łudzącą.

Malarz jest tu jedynie współpracownikiem gazowego, naftowego lub elektrycznego płomienia, ktory, przy stosownem użyciu, umie cuda optyczne wytwarzać.

Wogóle, robota p. Suchorowskiego uważaną być musi za nieprawe dziecię sztuki. Wykonana jest ona rozmyślnie dla tłumu; przeznaczona zaś dla jakiegoś bogatego i zmysłowego — profana.

P. S. oszacował swoje malowidło na... 50,000 rubli.

Jest to jeszcze jeden efekcik — dla galeryi.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ociężały rytm ruchu wydawniczego. — Jaskółki zimowe. — Świeża farba. — Wieść z Poznańskiego. — Poszukiwanie godziwego usprawiedliwienia. — Dyspensa stanowisk widnych. — Szlachcic jako człowiek. — Adwokatura dziennikarska. — Naiwność czy służalstwo. — Spękana opoka. — Dalsze „wyjaśnienia.“ — Porcya cnót obywatelskich. — Ci, co przysięgali, że „nie pójdą do Monaco!“

Ruch książkowy, zwykle ożywiony o tej porze, wlecze się leniwym rytmem ogólnego zastoju. Tylko kalendarze, te jaskółki jesienne wiosny wydawniczej z tęsknym piskiem krążą nad strzechami, pod któremi zwykle znajdują przytułek. Nakladcy, którzy pocieszali się nadzieją odrobku strat przy końcu roku, widząc słaby popyt na „światło,“ lękliwie i skromnie wypuszczają kapitał do przedsięwzięć nowych. Najpoważniejsza u nas firma Gebethnera i Wolffa, która niedawno jeszcze sypała książki wszelkie jak z rogu obfitości, ledwie czasem kapnie jakąś małą kroplą. Handel księgarski szerszego stylu przedzierzga się coraz widoczniej w spekulacyę małego rozmachu i bliskiej mety. Na większe odległości nikt nie strzela, bo każdy chybia. Przeciętny nabywca ścieśnił swe wydatki do potrzeb najniezbędniejszych: modlitewników, podręczników szkolnych i kucharskich, wogóle druków praktycznych, odżegnawszy się od literatury krzyżem biedy jako od złego zbytku. Czytelnictwo nasze, w znacznej części młode, spłukał deszcz powszechnego ubóstwa, jak świeżą farbę ze starego domu. I znowu wylazły na wierzch pleśnie, zacieki i plamy, znowu jesteśmy w owych czasach, kiedy inteligencya naro-

du odkarmiała się własnym kalendarzem i pożyczoną gazetą, dopełnianą nowinami rozwożonemi przez wszechwiednych żydków.

Na przygasłych głowniach czasem z dymu wywijają się płomyki, które wiatr na chwilę podsyca i wkrótce zdmuchuje. Podobnie i w ognisku naszego wydawnictwa przy końcu każdego roku żywiej pełkają wcielane i niewcielane projekty nowych pism peryodycznych. Przestraszony lub powstrzymany w innych kierunkach pieniądz próbuje szczęścia w tem ryzyku. Pole naszej umysłowości wyjałowione, nieobsiane i spieczone długą suszą, nowe przeto ideje nie rodzą się, natomiast gęsto je obrasta spekulacya, nieszkodliwa, ale też nieżywiąca. Jej zawdzięczamy nieustanną płodność prasy. Gdyby wierzyć *Kuryerowi świątecznemu*, każdy facetus był przed nowym rokiem zajęty pisaniem prospektów lub tworzeniem redakcyj. Istotnie, na prasę błogosławieństwo boże spadło obficie. Już chyba doszła ona do punktu nasycenia. A zresztą, kto wie! Nie trzymałbym zakładu, że wkrótce nie powstanie 10 *Tygodników ilustrowanych*, 5 *Biesiad*, 4 *Gazety rolnicze* itd. Gdyby tak rozszerzała się ziemia poznańska! Na nieszczęście, ona proporcyonalnie się zwęża.

Bismark zna ludzi. Przepowiedział, że szlachta poznańska za majątki, sprzedane niemieckiej komisyi kolonizacyjnej, pojedzie do Monaco, gdzie łatwo pocieszy się po „skróceniu ojczyzny“ — i rzeczywiście, na wyścigi wyprzedaje ona ziemię, jak gdyby zamierzała gromadą powędrować do uroczej siedziby ks. Radziwiłła. Niemal każdy tydzień ozdabia się świeżym kwiatkiem tej cnoty obywatelskiej, a niedawno pruskie gazety z usprawiedliwionym uśmiechem zaznaczyły, że komisya nie posiada dość pieniędzy do kupienia wszystkich majątków ofiarowanych jej przez szlachtę polską i że sieć swą zarzuci głównie na chłopów. *Kuryer warsz.* a za nim inne pisma doniosły „smutną i oburzającą wiadomość,“ że bank pod firmą Kwilecki, Potocki i Sp. sprzedał wieś Radłów (2,000 morgów) na cele kolonizacyjne. *Kuryer* osądził, że „jest to fakt bolesny i gorszący, który prawdopodobnie *nie znajdzie nigdzie usprawiedliwienia*.“ Nie tak to wszakże łatwo nam zrzec się tej nadziei, ile razy chodzi nie o potomków Sema lub Chama, lecz Jafeta. Żyda lub chłopa powiesilibyśmy od razu na podstawie samej pogłoski, ale w duszy szlacheckiej trzeba pogrzebać i poszukać, czy w niej nie ma jakiejś iskierki, z której by można rozdmuchać płomień, wytapiający z zużli bodaj odrobinę złota. I oto *Słowo*, będące takim społecznym tyglem, sprostowawszy wiadomość poprawką, że nie bank, ale jeden z jego zarządców, p. Mieczysław Łyskowski „skrócił ojczyznę“ o 2,000 morgów, dodaje: „Zważywszy, że p. Łyskowski jest człowiekiem bardzo zamożnym, że przez długi szereg lat stał na widnem (tak!) obywatelskiem stanowisku, postępku jego zgoła pojąć nie możemy (chciał być zamożniejszym i zajmować stanowisko widniejsze!). Fakt sam zasługuje na najsroższe napiętnowanie, *być może* jednak (aha!), że to sromotne zapomnienie się (tylko!) poważnego dotąd obywatela *znajdzie jeszcze jakieś godziwe usprawiedliwienie*.“ Niewątpliwie — „znajdzie,“ choć *Kuryer* mniemał, że „nie znajdzie nigdzie usprawiedliwienia.“ Nie, w pewnej sferze i dla pewnych stróżów moralności publicznej niepodobna zostać Barabaszem. Zrób, co chcesz i jak chcesz, oni zawsze domagać się będą uniewinnienia cię. Choćbyś unurzał w błocie skórę, przewrócił się jak worek na drugą stronę i jeszcze raz unurzał się, oni cię z szacunkiem podejmą, wyzawieszą na słońcu i pokażą: patrzcie, jaki biały, zbrudził się tylko wypadkiem. No, niechby nie 2,000 m., ale 3 łokcie ziemi sprzedał niemcom „pozytywista,“ zwłaszcza nie „zamożny“ i nie stojący na „widnem stanowisku,“ przywiązanoby go do ogonów stu koni wściekłych, rozwleczono bronami, wbito na pal, podarto w pasy. Jestem nawet pewien, że jeśli w stosownym kręgu Dantejskiego piekła zejdą się kiedyś szlachetne duchy sprzedawców ziemi poznańskiej, nad niczem tak rzewnie płakać nie będą, jak nad zepsuciem, szerzonem przez „pozytywistów“ i „materyalistów,“ osłabiających patryotyzm, tradycyę i uczciwość obywatelską.

Przewaga samolubstwa nad poczuciem obowiązków społecznych jest słabością tak ludzką, że należałoby dziwić się tylko temu, gdyby w jakiejkolwiek warstwie całkiem zaniknęła. I objawy zatem wyprzedaży ojcowizn w ręce obce nie są niczem, przechodzącem granice kalectw zwyczajnego człowieka. Gdy ten człowiek zostanie podniesiony do wysokiej potęgi liczebnej, gdy wystąpi w wielkiej gromadzie jako naród, przypisujemy mu lub żądamy od niego szczególnych zalet. Nazywamy go wielkim, zacnym, prawym, przywiązanym do ideałów, bo w pojęciu naszem stanowi on sumę samych dodatnich pierwiastków. Ale wyłączmy z tej masy trafem pierwszą lepszą jednostkę, rozpatrzmy jej naturę, życie, dążenia, z pewnością przekonamy się, że one są dalekie od przymiotów idealnych, przyznawanych ogółowi. Milion ziemian, przemysłowców, kupców, robotników — to, według naszego mniemania, jakościowo całkiem co innego, niż jeden ziemianin, przemysłowiec lub kupiec. Uczony, który lekceważy niewiadomość każdego ze słuchaczów osobno, uczuwa szacunek i trwogę, gdy ich zbierze się na jego wykład dwustu. Podobnie i w sprawach społecznych. Zgodzimy się, że ten i ów szlachcic nie posiada zdolności na bohatera, ale „szlachta“ wydaje nam się dzielnem ciałem obywatelskiem. Tymczasem są to także ludzie, ludzie ułomni, tradycyą historyczną i wychowaniem osobistem przyzwyczajeni do życia bez pracy i nad możność, do dziedziczenia środków i przywilejów, do uważania siebie za kwiat i owoc nasienny narodu, koleją zaś losów strąceni z tej wyżyny i obecnie postawieni w warunkach, uniemożliwiających byt na dawnych podstawach. Więc upadają, grzeszą przeciw powinnościom obywatelskim, targają się w matni, nie przebierają w sposobach ratunku, zastawiają lub sprzedają swoje klejnoty rodzinne za strawę dla egoizmu — wszystko to zrozumieć, a nieraz nawet usprawiedliwić trzeba. Ale czego ani zrozumieć, ani usprawiedliwić niepodobna, to ślepej i obłędnej ich adwokatury w prasie, która naprzekór dowodom, faktom i doświadczeniom opiera głównie teraźniejszość i przyszłość społeczeństwa na tej popękanej i kruszącej się opoce. Adwokatura taka wygląda albo na żart z rzeczy poważnych, albo na służalstwo, przekonane, że więcej warte ostatki z pańskich talerzy, niż pełna misa chłopska. W społeczeństwie słabem żadna klasa nie może być silną, żadna też u nas nie dźwignie ciężaru przeznaczeń, któremu wszystkie razem zaledwie podołają. Mówić zatem, że przyszłość narodu, jego zdrowie, jego rozum, bogactwo, spoczywa w łonie szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa albo ludu — jest to bezmyślnie tłuc powietrze językiem dla sprawienia pustego szumu. Publicysta rozsądny może tylko we wszystkich warstwach cenić i podnosić te pierwiastki, które, według niego, są dla ogółu pożądane i pożyteczne, bez względu na to, czy je znajduje w pokładzie szlacheckim, czy ludowym. Nie będzie on nosił w jednej sakwie chleba dla „swoich,“ a w drugiej — kamienia dla „nieswoich,“ nie będzie mierzył dwoma łokciami i wagami czynów ludzkich, potrafi oszacować czyn obywatelski chłopa, a napiętnować niegodziwość szlachcica, lub naodwrót. Takiej zaś służby interesom kastowym, jaką sprawują niektóre organy naszej prasy, takiego kamerdynerstwa dziennikarskiego daremnie szukalibyśmy w innych krajach. Czasami bywa ono ślepotą i głuchotą szczerą, naiwną, ale zawsze kalectwem. Ktoś słusznie powiedział, że każdy pogląd jest niskim, który nie jest ludzkim, który nie ogarnia wszystkich ludzi, lecz tylko pewne ich odmiany.

Służba tak zwanych tedy „obrońców własności większej,“ o ile zechcą ciągle w swoich klientach widzieć nie ludzi słabych i ułomnych, lecz dzielnych i mężnych bohaterów, będzie coraz trudniejszą, bo zaraza coraz szerzej pada na kłosy tej wyborowej pszenicy społecznej. Każde „wyjaśnienie“ jakiegoś faktu wiarołomstwa obywatelskiego rozszerza tylko krąg winnych i wciąga nowe nazwiska na listę sromotną. *Kuryer warszawski*, odpierając doniesienie *Słowa* w sprawie sprzedaży wspomnianego majątku, pisze: „Myli się *Słowo*, twierdząc, że p. Łyskowski był właścicielem Radłowa i sprzedał je jako człowiek prywatny, a nie jako dyrektor banku. *De nomine* może był p. Łyskowski właścicielem tej wsi, ale nie *de facto*. Sprawa sprzedaży wsi traktowaną była niedawno na posiedzeniu rady nadzorczej banku „Kwilecki, Potocki i Sp.“ i tu *wszyscy*, a najbardziej p. *Potocki* z Bendlewa za sprzedażą przemawiali. *Jedyny* tylko p. Chełkowski z Kuklinowa zwracał uwagę na sromotne to postępowanie, ale nie został usłuchany. Dodaję — mówi korespondent — że p. Łyskowski zrobił komisyi kolonizacyjnej ofertę już przed kilku tygodniami, później się cofnął, z czego się chełpił, ostatecznie atoli myśl pierwotną przeprowadził.“

Obok więc p. Łyskowskiego, mamy do litanii p. Potockiego, oraz prawie wszystkich członków rady banku, a komu by tej porcyi cnót obywatelskich było na jedno danie za mało, może sobie z tegoż numeru *Kuryera* przyłożyć p. Czapskiego, który sprzedał komisyi wieś Borowo za 600,000 marek. Ciekawa rzecz, czy też dla tych panów, krzyczących w swoim czasie: „nie pójdziemy do Monaco!“ — „nie sprzedamy ziemi!“ — znajdzie się jeszcze „godziwe usprawiedliwienie“ po za... pesymizmem, lub wreszcie po za tą zasadą filozoficzną, która każe wynieść się nad „zgniliznę padołu“ i „poznaniem wszystkiego — wszystko przebaczyć.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ile kosztuje przerabianie złych na dobrych. — Kiedy wydatek ten przepada skutkiem oszczędności. — Korespondent a korespondent. — Opiekunowie ze szkoły manchesterskiej. — Oświata i moralność. — Krawcy i szewcy. — „Do Rumunii!“ — Nie ma dostaw bez savoir vivre'u. — Bankructwa i karnawał.

Były czasy (może nawet nie minęły dotąd), kiedy namiętnie gromadzono zużyte marki pocztowe na wykupywanie maleńkich pogan. Czy istotnie wykupiono za taką monetę jakiego nieletniego bałwochwalcę i nawrócono — powiedziećbym nie umiał. Natomiast mam przed sobą książkę, z której dowiaduję się, ile kosztuje wykupienie małego polaka z występku, z więzienia i nawrócenie go do pożytecznej pracy. Na taki sprawunek wydawać trzeba przeciętnie przez trzy lata i trzy kwartały po 190 rs. rocznie. Przerobienie łotra, zbrodniarza na pożytecznego rolnika, rzemieślnika itd. kosztuje tedy mniej więcej 700 rs.

Już zgadłeś czytelniku, że fabryka, w której dokonywają się takie przeróbki, to — „Osady rolne i przytułki rzemieślnicze,“ a książka, o której mówię, jest „Rocznikiem“ tej instytucyi.

W roku sprawozdawczym (1885) osady miały około 160 wychowańców, skazanych na pobyt w kolonii karnej wyrokami sądowymi. Od czasu założenia Osady było w niej wychowańców 397, z których 47 oddano rodzicom, 164 umieszczono na nauce rzemiosł,

ogrodnictwa, rolnictwa itp.; 11 wydalono z powodu nieodpowiedniego wieku, nieuleczalnej choroby lub zupełnego zdemoralizowania. Z oddanych na naukę rzemiosł 7 posiada własne warsztaty a 52 jest czeladnikami. Opieka Towarzystwa ustała nad 102 uwolnionymi. Nakonice 21 zmarło, co w stosunku do całej liczby 397 czyni 52½ zejść na 1,000.

Ta ogromna śmiertelność jest bolesną raną „Osad." Pomnijmy, że śmierć srogy się tu pośród chłopców, mających od 10 do 18 lat życia, zatem w wieku opornym na wpływy szkodliwe. Część winy spada zapewne na niepomyślne warunki, w jakich znajdowała się ta dziatwa przed wejściem do zakładu; część może należy przypisać mokremu położeniu Studzieńca, teraz dopiero rękami dzieci osuszanego; wszakże biorąc pod uwagę inne dane „Rocznika" — godzi się zapytać, czy Towarzystwo nie *głodzi na śmierć* pewnej liczby swoich wychowańców?

W ciągu roku 1885 zjedli oni po 70 funtów mięsa, po 14½ ft. okrasy, po 11 funtów mleka! Prawda, że natomiast zjedli po 526½ ft. chleba, 160 ft. kaszy i 420 ft. kartofli — że zatem nie o ilość, tylko o jakość tu chodzi; ale porcye, zawierające mniej niż po łucie mleka dziennie, mało co więcej niż łut okrasy i mniej niż ⅓ funta mięsa są poprostu zabójcze, zwłaszcza dla młodzieży rosnącej i zniewalanej do ciężkiego, fizycznego wysiłku. Nadmieniam, że z tych wszystkich porcyj należy coś jeszcze uskubnąć na służbę, która żywi się razem z wychowańcami.

Nie o pieszczenie łotrzyków idzie, ale o czynienie zadość wymaganiom ludzkości.

Zarząd obecny szczyci się słusznie, że w przeciągu 3 lat urzędowania powiększył mienie Towarzystwa o 25,000 rs. Wszakże nie powinien tracić z oczu głównego swego celu, którym jest: zwracać społeczeństwu ludzi zdrowych fizycznie i moralnie. Wzrost majątkowy jest środkiem, nie celem, i jeszcze możnaby niejedno co do pożyteczności tego środka nadmienić. Pomiędzy innemi godne jest uwagi przyznanie zarządu, iż pożytecznie byłoby rozszerzyć warsztaty rzemieślnicze w Studzieńcu, ale że z pobudek oszczędności nie śmiano tego uczynić.

Zarzucając przesadę w cnocie oszczędności, bynajmniej nie chcę uwłaczać innym kierunkom prac Towarzystwa. Miało ono do zwalczenia trudności ogromne. Znaczna część personelu zmianie uległa. Prezes, p. Feliks Sobański, ustąpił, a na jego miejsce wybrany został p. Ludwik Górski. W administracyi zmieniali się po kilkakroć dyrektorowie, zmienili się: kapelan, sekretarz. Urządzenie odczytów na dochód Towarzystwa było wielce kłopotliwe. Zebranie 7,234 rs. składek od członków honorowych (płacących po 6 rs. rocznie), przy pomocy sieci członków korespondentów, podobnież możliwem było tylko dzięki staraniom Towarzystwa, przypominaniu, zjednywaniu sympatyi, a nadewszystko troskliwemu doborowi członków korespondentów. Jak wiele zależy na tych ostatnich, łatwo się przekonać już stąd, że kiedy niektóre powiaty dostarczyły po trzydziestu kilku a nawet po czterdziestu kilku płacących składki (błoński, łęczycki, hrubieszowski, łódzki, lipnowski), to z innych było zaledwie po dwóch lub trzech kontrybuentów (łowicki, miński, łomżyński, przasnyski, łukowski, suwalski).

Ponieważ zbieranie składek jest zawsze uciążliwe, należałoby zatem zmieniać korespondentów już znużonych tą pracą, jeżeli zwłaszcza sami się o to dopraszają, jak „Rocznik" wspomina.

Zaznaczyć wypada utyskiwanie „Rocznika" na niedbalstwo osób, które przyjęły godność *opiekunów*, czyli zobowiązały się czuwać nad wychowańcami oddanymi do rzemiosła. Pan opiekun niebawem częstokroć zapomina o swym pupilu, nie składa o nim wiadomości i uniemożliwia kontrolę. Wychowaniec od majstra odchodzi, wędruje dalej, a zarząd traci go z oka. Dziwne to stosowanie zasady: *laissez faire, laissez aller.*

Ze względu na kwestyę stosunku oświaty do moralności jest warte zaznaczenia, że ze 135 chłopców, trzymanych w r. 1885, nie umiało, wchodząc, ani czytać ani pisać 72%, zaczynało czytać 18%, zaledwo tedy 10% umiało czytać po polsku albo po polsku i po rosyjsku. Zdawałoby się, że cyfry te przemawiają za pożytkiem oświaty.

Zarząd jednak mniej kładzie nacisku na naukę, niżeli na pracę fizyczną, którą poczytuje za najdzielniejszy środek umoralniający. Komentarzem do tej, wyraźnie w „Roczniku" wypowiedzianej zasady jest cyfra 21 nieumiejących czytać wychowańców z pomiędzy 27, którzy w r. 1885 opuścili zakład.

Ciekawe są wykazy kar i nagród, wiadomości szczegółowe o gospodarstwie rolnem studzienieckiem, o majątkowych obrotach, o członkach wykreślonych za niepłacenie; lecz jeśli kto się stanem Towarzystwa zainteresował, niech raczy nabyć „Rocznik" za 50 kop. (na dochód „Osad"). Znajdzie tam jeszcze dział literacki, a w nim zdanie sprawy z kongresu międzynarodowego penitencyarnego w Rzymie, gdzie Towarzystwo było przedstawiane przez p. Moldenhawera i nakoniec sprawozdanie administracyi zapisu hr. Kajetana Kickiego.

Niedawno *Prawda* wspominała o śmierci spółki zjednoczonych ślusarzy. Dziś kolej na dogorywającą spółkę zjednoczonych krawców. „Wewnętrzna walka o rządy, intrygi, zawistne prześladowania i to tych właśnie, którzy swe dzieło mogli pomyślnie dalej prowadzić, spowodowały to, że spółka (zawiązana w kwietniu 1874 r.), tracąc przez ostatnie trzy lata wszystko, co dotąd nabyła, kończy swe istnienie." Licytacyę ogłoszono na 14 stycznia. Dzieje spółki opowiada p. L. Baranowski w *Gazecie przemysłowo-rzemieślniczej*. Sens ich moralny przytoczyłem w cudzysłowie. Dziwić się upadkowi temu nie ma przyczyny — a martwić się wypadłoby tylko zmarnowaniem pewnej sumy pieniędzy, pracy i chęci dobrych na zawiązywanie takich stowarzyszeń, powołanych do lichego i krótkotrwałego żywota.

Nie spółki wytwórcze rzemieślnicze, ale spożywcze i oszczędnościowe zakładać i rozwijać należy. Te mają przyszłość przed sobą, tamte — dziś jeszcze — nie mają i trudno przepowiedzieć, czy kiedykolwiek mieć będą.

Niedolę szewców opisuje *Kuryer codzienny*. Spekulanci z Cesarstwa zamawiają wyroby ich, dają zadatek, wymagają, aby towar był odesłany koleją za przekazem zwrotnym, a gdy już robota skończona dojdzie na miejsce, zwlekają z odbiorem i zapłatą, żądają zniżenia ceny o 15, 20, nawet 25 od sta. Majster ma tedy trzy drogi do wyboru: albo się zgodzić na propozycyę i stracić, albo zażądać odesłania towaru na swój koszt i znowu stracić, albo doczekać się wystawienia obuwia na licytacyę przez biuro kolejowe dla pokrycia kosztów przewozu i składowego, zatem stracić raz jeszcze, nie mówiąc o stratach na listy, depesze i na zdyskontowanie obstalunku.

Środków zaradczych *Kuryer* nie podaje. Oczywiście nie będzie ich dopóty, aż handel z Cesarstwem zostanie uregulowany. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu zajęło się tą sprawą, coś koło niej dłubie, trudno się wszakże dziwić, iż kwestya tak zawiła nie wypłynęła dotąd „na czystą wodę." Firmy zamożne, robiące z Cesarstwem rozległe obroty, posiadają swoich przedstawicieli po wszystkich ważniejszych miastach. Ale do urządzenia agentów takich, do których mógłby biedny szewczyna zakołatać o skuteczną opiekę, trochę jeszcze podobno daleko.

Do handlu z Rumunią zachęca w dwóch numerach *Kuryera warszawskiego* p. Łazar Serban, przemysłowiec serbski, tu mieszkający obecnie. Powiada, że cukier, żelazo, stal, maszyny, wyroby tkackie, szewckie, krawieckie, znalazłyby w Rumunii chętnych nabywców. Należałoby tylko co do niektórych artykułów postarać się o zniżenie ceny przewozu, o premia wywozowe itp. P. Serban przytacza cyfry milionowe przywozu do Rumunii z rozmaitych krajów Europy, mówiąc niejako: i wam z tych milionów mogłaby się przyzwoita cyfra okroić. Nie dziwiłbym się wszakże, gdyby przemysłowcy, zwłaszcza drobniejsi, uznali za słuszne długo się namyślać, zanim błyskotliwej pokusie ulegną.

Zresztą zbytecznem byłoby zapewne ostrzegać przed niebezpieczeństwami zbyt pohopnej przedsiębierczości. W takim kierunku nadmiarem nigdy nasz ogół nie grzeszył. Świeży fakt mówi o tem dość wyraźnie. Niedawno miała się odbywać licytacya na dostawę artykułów żywności (jarzyn, mąki, kaszy itp.) dla wojska. O warunkach i dniu ogłaszano kilkakrotnie, z nadmienieniem, że dopuszczeni będą tylko chrześcianie. Termin nadszedł i — licytacya spełzła dla braku licytantów. Jeżeli wyłączyć przypuszczenie warunków licytacyjnych zbyt uciążliwych, to podobne zaniedbanie przedsiębiorstwa należałoby do wypadków niezwykłych bodaj w całej Europie. A jednak trzeba wyznać, że nasi przemysłowcy chrześciańscy prawie nie myślą o udziale w licytacyach na dostawy. Na przeszkodzie stoi nieumiejętność... jakby to powiedzieć — nieumiejętność *savoir vivre'u* pewnego gatunku.

Mam li ręce łamać nad tą nieumiejętnością? Niestety, na smutniejszą wieść zachować się trzeba, w obawie rychłego ziszczenia. Mówią o bankructwach, o zamykaniu rozmaitych interesów handlowych.

A może też karnawał jaką ulgę przyniesie i sposępniałych rozweseli?

K. Zbrucki.

CUDZE GŁOSY.

Vychod (Wschód), nowa gazeta czeska, redagowana przez p. Fr. Skrejszowskiego, radzi wszystkim słowianom przyjąć jedną religię, „odpowiednią ich potrzebom" i tak słuszność tego poglądu uzasadnia polakom (według *Gazety polskiej*):

„Gdyby *polacy* w Poznańskiem byli *prawosławni*, czyżby germanizowanie ich było możliwe? W żaden sposób, ponieważ nie mieliby oni między sobą wewnętrznego nieprzyjaciela, który musi być stokroć gorszy od zewnętrznego.

Germanizowanie ich jednak jest możliwe, ponieważ kościół rzymsko-katolicki, mimo że faworyzuje polaków (oczywiście nie jako polaków, tylko katolików), ustąpił jednak Bismarkowi i pomaga mu w pracy germanizacyjnej, ustanowiwszy tam niemieckie wyższe duchowieństwo."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bank włościański kiedy będzie otwarty, dotąd jeszcze nie wiadomo. *Kur. warsz.* donosi, że ministerya spraw wewnętrznych i finansów już się porozumiały w tym względzie. Jeżeli wszakże dokładne są doniesienia *Kraju*, że projekt rzeczonego banku ma być dopiero w marcu złożony na zatwierdzenie Rady państwa i że przedtem wyjedzie do Królestwa jeden z członków Banku włościańskiego w Cesarstwie, żeby sprawę tę jeszcze raz zbadać na miejscu, to słusznie można wnosić, że data otwarcia nowej instytucyi dotąd jeszcze nie mogła być ustalona i za sam projekt,

jeżeli nawet jest opracowany w szczegółach, uledz może zmianom, które opóźnią powstanie banku.

Zarząd Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu okólnikiem zawiadomił członków o rozpoczęciu czynności z d. 15 maja r. b. Dyrektor handlowy Towarzystwa, p. Ksawery Rodziszewski, wyjechał w tych dniach do Berlina, Gdańska, Królewca, Hamburga, Kopenhagi i Krakowa celem zawiązania stosunków handlowych i ułatwienia zbytu okowity polskiej.

Stowarzyszenie przeciwgradowe ziemian grójeckich obciążyło należące do stowarzyszonych przestrzenie wydatkiem tylko po półtorej kop. z morga na wynagrodzenie za straty poniesione w roku ubiegłym przez dotkniętych gradobiciem.

Kanalizacya cytadeli dokonać się ma w połowie kosztem władzy wojskowej, w połowie kosztem miasta, gdyż ono będzie korzystało z kanału głównego, przechodzącego przez cytadelę, a nadto, według opinii magistratu, w razie epidemii forteca mogłaby być źródłem zarazy dla mieszkańców. Wnioski, dotyczące takowego podziału kosztów, będą niebawem złożone władzy wyższej.

Pretensya. Właściciel majątku Rury, pod Lublinem, p. Jakubowski, wystąpił do władz odnośnych z pretensyą o wypłacenie mu sumy wynoszącej przeszło 6,000 rs., jako zwrotu strat w gospodarstwie, wynikłych stąd, że robotnicy często musieli opuszczać robotę, aby się uchronić od kul, padających w czasie ćwiczeń wojsk: z tej samej przyczyny często nie można było wypuszczać inwentarza na paszę. *Gaz. lubelska*, z której czerpiemy niniejszą wiadomość, nadmienia, że zanim decyzya w tym przedmiocie zapadnie, władza wojskowa zajęła się zbudowaniem wału zabezpieczającego od kul okoliczne grunta.

Z Radomia do Warszawy koleją Dąbrowską klasą 3 kosztuje droga przeszło 2 rs., zaś omnibusem żydowskim tylko 75 kop. Z tej przyczyny ruch pasażerski i towarowy przeważnie korzysta z usługi furmanów żydowskich.

W Nowej Aleksandryi dla braku studzien publicznych, mieszkańcy kupują wodę, za którą rodzina złożona z trzech osób, musi płacić rubla miesięcznie, czyli prawie 7 groszy dziennie.

Sprzedaż losów na loteryę klasyczną przez jednego gracza drugiemu, dokonywaną być może, podług nowych przepisów nie inaczej, jak przez cesyę sporządzoną na czystej stronie biletu i odnotowaną w księdze kolektorskiej. Podług tychże przepisów, tabele tymczasowych wygranych, drukowane dotąd w zakładzie Keltera i Platka, będą nadal odbijane w drukarni Banku państwa.

Wywiezienie archiwum. Korespondent *Wieku* z Lublina donosi, że na skutek starań prezesa tamecznego sądu okręgowego, ministeryum sprawiedliwości wyasygnowało przeszło tysiąc rubli na wywiezienie z archiwum akt dawnych w Lublinie cenniejszych dokumentów do archiwum w Kijowie. Wybrane zostały dawne akta nadawcze, przywileje miejskie, dyplomy i dokumenta, tyczące się szlachty, słowem wszystko, co ma wartość historyczną. Ładunek zapełni pięć wagonów towarowych. Miejscowa administracya kolei Nadwiślańskiej zaregestrowała te dokumenta pod względem opłaty do klasy pierwszej; wynikł stąd spór i władze sądowe wystąpiły do zarządu z wyjaśnieniem, że przewożone papiery nie przedstawiają wartości książek, lecz uważać je należy za makulaturę.

Poszukiwania archeologiczne i wogóle roboty kopalne dla odkrycia skarbów i zabytków starożytnych w głębi ziemi mogą być na gruntach skarbowych, kościelnych, gminnych i miejskich przedsiębrane tylko za pozwoleniem cesarskiej komisyi archeologicznej w Petersburgu, stosownie do okólnika ministeryum spraw wewnętrznych, rozesłanego wszystkim gubernatorom i oberpolicmajstrom.

Instytut muzyczny w Warszawie, podług projektu nowo opracowanego, posiadać będzie trzy kursy, zamiast dzisiejszych dwóch, z wykładem codziennym. Wykłady, nie należące wprost do dziedziny muzyki, np. języków, rytuału kościelnego itp. mają być zniesione. Opłata szkolna będzie podniesiona z 50 na 80 rubli. Nauczycieli ma być więcej, a zarząd będzie zreorganizowany.

Towarzystwo śpiewackie organizuje się w Lublinie na wzór „Lutni“ warszawskiej.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych ułatwiło w bieżącym roku przez swoją wystawę sprzedaż około 30 dzieł sztuki za 6,000 rs., włącznie zaś z zakupami, dokonanymi przez komitet, suma sprzedaży dochodzi do 20,000 rs. Wylosowanych ostatnio dzieł sztuki było 95.

Akcye krakowskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych zostały w znacznej liczbie zatrzymane na komorze „Granica,“ jako zaliczone do tej samej kategoryi co i losy loteryi zagranicznej. Kancelarya generał-gubernatora warszawskiego, do której je odesłano, wezwała prokuratorów właściwych o pociągnięcie do odpowiedzialności adresantów. Jedna ze spraw stąd wynikłych, jak donosi *Kaliszanin*, była rozpatrywana przez sąd okręgowy kaliski, lecz z powodu przedawnienia została umorzoną, akcye zaś sąd zniszczyć polecił.

Wystawa dekoracyjna stylowa urządzona będzie przez komitet złożony z hr. Walewskiego, ks. Michała Radziwiłła, p. Gustawa Bisiera, właściciela stałej Wystawy starożytności w Warszawie, p. Schoupé malarza, p. Lanci budowniczego i p. Haubolda, właściciela zakładów tapicerskich. Urządzone być mają gabinety, z których każdy ma przedstawiać stylową całość, złożoną z obić, mebli, drobiazgów, dywanów, dobranych stosownie. W osobnym dziale zbiorowym znajdą się przedmioty niepomieszczone w gabinetach. Mają być reprezentowane: styl Ludwika XIII, XIV, XV i XVI, dyrektoryatu, cesarstwa, gotycki, renesansowe i współczesny; ze wschodnich: japoński, chiński, perski. Przedmioty innych stylów będą złożone w gablotach i szafach. Ponieważ arystokracya pieniężna przyrzekła nabywać okazy nawet cenne, zatem wystawą zajęło się wielu rzemieślników. Komitet postanowił wszakże, aby do każdej deklaracyi dołączył wystawca vadium 30 rs., które przepadnie, gdy przedmiot nie będzie nadesłany na termin.

Zmarł w Warszawie Konstanty Fiszer, b. oficer b. wojsk polskich, od lat 18 opiekun zakładu sierot dziewcząt Towarzystwa dobroczynności; w r. 1882 Towarzystwo mianowało go „ojcem sierot.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

L. Podzielamy oburzenie Pańskie na niecnotę akuszerki, która opuściła położnicę w krytycznej chwili z nienawiści do żydówki, mimo że chora żydówką nie była; ale cóżby pomógł nasz głos w tej sprawie, którą słusznie wniesiono do sądu?

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Kalinkowicz z Odessy rs. 10; L. rs. 1, Pląskowska Justyna rs. 2, Minkiewicz Bolesław rs. 3, M. F. rs. 1, Kostkiewicz August rs. 3, Letki z Irkucka rs. 3.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego bez różnicy wyznania. S. Altdorfer z Odessy rs. 28 kop. 50.

Do rozporządzenia redakcyi. Ignacy Wasiłowski z Kazimierzy Wielkiej kop. 20, od U. D. N. rs. 20, F. Godyński z mineralnych wód rs. 4 kop. 20.

Na kasę imienia Mianowskiego. Bogdan Rudnicki z Wyszni-Wołoczko rs. 5.

Dla wydalonych. Bieńkowska rs. 5, Bobińscy rs. 12.

Na Szkołę rzemieślniczą przy ul. Jasnej: Jabłkowski rs. 1.

Sprostowanie. W nr. 1, str. 3, szp. 3, w. 15, zamiast „biskup bydgoski (bromberski)“ powinno być „bamberski.“

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Января 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.